

JAN KASPROWICZ

BALLADA  
O SŁONECZNIKU

K R A K Ó W

1930

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA  
przy K. O. S. B.  
w Białymstoku

681/XI-XII

CZCIONKAMI DUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

## I. NIE ZGASŁAŚ, PIEŚNI.

.....  
Nie zgasłaś, pieśni, spętana więzami  
Westchnień, mdlejących poza widnokregiem  
Widomych blasków, poza niedosięgå  
Otoczą wielkich, zielonawem światłem  
Tajności lśnistych przyrzeczeń!... Jak więzień,  
U progu skonu, w ciasnej, ciemnej kaźni  
Żywi swą przyszłość nadzieją przestrzennej,  
Jasnej i świeżej rozkoszy wyzwolin,  
Tak nieustannie karmi się ma dusza  
Nowych Zwiastowań świętą, bożą strawą,  
By chleb złożoną na białym obrusie  
Wieczornej uczty Żywota, przy szumie  
Gajów oliwnych, gdy zorze gasnące  
Na glob rzucają wielki cień Kalwarji...  
Bo powiedz, powiedz: czem byłaby dusza  
Bez tej Komunji Słowa, bez tych głośnych,  
Jak serc najgłębsze, najskrytsze życzenie,  
Bez tych bezkreśnych, jak głębie przestworów,  
I, jak te głębie, arcymelodyjnych,  
Tęsknot oddechem drżących Przepowiedni?  
Czemże byłyby bez tej słodkiej woni  
Drogię wina, które nadprzepastnych  
Dreszczów żądliwe wycisnęły ręce  
Z gron nieumarłych Przeczuc i jak płynny

Przelały bursztyń jego święte krople  
W kosztowny, złoty roztruchan misteryj,  
Niejawnionych przez mękę i ciernie?  
Niejawnionych, chociaż u ich wejścia,  
Przywalonego kamieniem, owitym  
Zwojami bluszczów, z triumfu chorągwią  
Białą i szumną, jak skrzydła gołębie,  
Staje codziennie na świętych Taborach  
W słoneczną rozkosz przemieniana Męka...  
Choć z głową, wspartą na złotej patenie,  
Na cierń spogląda i na krzyż oczami  
Niewysłowionych, omdlałych upojeń!...  
Czemże byłaby — powiedz ty, coś ongi,  
Może niedawno, tak jeszcze niedawno,  
Że nie miał czasu prześnić się ostatni  
Sen o srebrzystych świtach na odległej,  
Mgławą aleją świerków ku promiennym  
Wierchom wiodącej przestrzeni pomiędzy  
Umarłem ciałem, a zbudzonej duszy  
Zdumionem okiem — ty, coś ongi, wczoraj,  
Jako niemowlę, zasłuchane w dźwięki  
Pieszczot matczynych, pragnące złowioną  
Powtórzyć nutę, lecz niewprawne usta  
Są jako skrzypce bez strun — — — powiedz, pieśni,  
Ty, coś niedawno jeszcze stała z okiem  
Szklanem od nagłych lęków i zadziwień,  
Przed tą przestrzenią, przed tą po urwiskach  
Pnącą się drogą:

Czem byłaby dusza,  
To źródło życia twójego, bez owej,  
W niejawnionych tajni nietykalnem,  
Świętem Cyborium ukrywanej Hostji?

Nie lżą byłaby, spadła z pod powieki  
Bożej w godzinie twórczych, nieujętych  
Ludzka rachuba — Jemu czyż świadomych? —  
Cierpień, lecz kroplą dżdżu, zlepioną marnie  
Z ziemskich wyziewów na to, aby, świecąc  
W kielichu lilji lub na liściach ostu,  
Zgasła pod skrzydłem owadu lub w piasek  
Wsiąkła przydrożny pod kręgami płazu...

## II. SIĄDŹ NA KAMIENIU.

Siądź na kamieniu, który się odłamał  
Z odwiecznych skał,  
I przez potoku odwieczny szum  
Rozmawiaj z Bogiem.

Wiem: nie odgadniesz Jego tajemnicy,  
Ale usłyszysz zdaleka  
Tajemnic pełne westchnienie,  
Ktorem Or, wielki, miłosierny Pan,  
Twym towarzyszy losom.

I zasłuchany w ten odwieczny szum  
Potoku, mknącego z dalekich.  
Poza światami skrytych gór,  
Nie troszcz o swoje się jutro,  
Albowiem nić jego przędzie  
Na niewidzialnej kądzieli  
Bóg.

Jeżeliś synem jest światła,  
Światłością będą twoje dni, przyszłe  
A jeśli w czas twych narodzin  
Płakała ziemia  
Pod ciężkiem brzemieniem mroków,  
Nie znajdziesz w sobie tej mocy,  
Ażeby z zaćmień gwiazd  
Wydobyć blask dla swych dróg.

Na czyn się nie sil i chęci oporu  
Folgi nie dawaj:  
Krzyk i gniew to drухy  
Ludzkiego rąk podnoszenia  
Przeciwko temu, co jutro  
Ma się wypełnić...

Twym czynem  
Siąść na kamieniu, który się odłamał  
Z odwiecznych skał,  
I przez potoku odwieczny szum  
Rozmawiać z Bogiem  
I ludziom krzyczącym i gniewnym  
Nosić orędzie wieczności,  
Pełne dalekich, tajemniczych westchnień.  
Które mi wielki, miłosierny Pan  
W dal towarzyszy ich losom.

### III. WIECZÓR.

Słońce zachodnie, przygasając, pali  
Ostatni ogień na szczytach... Mrok... Smutn

Splywa tęsknica na łąkę; szmat płótna  
Bieleje na niej; w bagnisku, śród fali

Sennych sitowi, rozgwar żab; ze stali  
Wykuty księżyc: ziemia, w znój rozrzutna,  
Zasypia zwolna; rozbudza ją chutna,  
Szalona piosnka pijanych górali.

I ta umilkła... Kępy wierzb, jesiony  
I wiąży drzemią nad rowami; szare,  
Wilgotne pyły tulą się do trawy...

Snu nieznający, szumi rozklebiony  
Potok, sinawą rozwieszając parę —  
Oddech wieczności — na przestwór sinawy.

### IV. POŻEGNANIE.

Dużom się nażył z wami, zacni ludzie,  
Dużo waszego najadłem się chleba,  
Teraz — żegnajcie! W drogę mi potrzeba,  
W drogę daleką, po śniegach i grudzie.

Wiem: jeśli zechcę pozostać w tym domu,  
Ramion mi swoich ta gościnność wasza  
Chyba nie zamknie; lecz mnie już przestrasza  
Dobroć szlachetnych... Nie mówcie nikomu,

Że nic wam w zamian nie dałem: w samotni,  
Do której dążą me stopy pielgrzymie,  
Będę miał dosyć czasu, by swe imię

Własnym obarczać wyrzutem: stokrotnie  
Rani on duszę, w straszniejsze ją wplata  
Koło, niż, zacni ludzie, — ręce świata,

## V. RADA.

Starzec, któremu wyżarło już oczy  
Patrzenie w przyszłość służebną, rzekł, w drogę  
Puszczając syna: Jedną dać ci mogę  
Radę, posłuchaj: Zawsze bądź ochoczy,

Mój arcybłąźnie, siadać na krawędzi  
Stółka — z szacunku dla wielkiej hołoty,  
Co społecznością zwie się, lecz w zaloty  
Niechaj cię zbytnia pochopność nie pędzi

Ku prezydentom jej czci, ku marszałkom  
I ku ministrom jej honoru: pałką  
Wal tych obrońców moralności... Jeśli

Ta, którąś uczcił, obrazi się za to,  
Ciesz się, nadchodzi miłościwe lato,  
Co ciebie, pana, z rzędu sług wykreśli.

## VI. WIATR GNIE SIEROCE SMREKI...

Wiatr gniew sieroce smreki,  
W okna mi deszczem siecze;  
Cicho się moja dusza  
Po mgławych drogach wlecze.

Ku turniom płynie krzesanym,  
Ku ścieżkom nad przepaściami.  
Gdzie widmo bożych tajemnic  
Zmaga się w szumach z nami.

Ku wirchom dąży strzelistym,  
Spowitym w słoneczne złota,  
Gdzie o bezbrzeżnych przestrzeniach  
Samotna śni tęsknota.

Wiatr gniew sieroce smreki,  
Mgławica deszczem prószy...  
Hej! góry zakłete góry!  
Tęsknico mojej duszy!

## VII. NIE WIEM, GDZIE JESTEŚ...

### I.

Nie wiem, gdzie jesteś i czy wielkie, czarne  
Twoje źrenice tak się jeszcze palą,  
Jak ongi, w chwilach, dziś przymglonych dałą  
Sennych-li wspomnień, ku którym się garnę

Słabym, ostatnim wysiłkiem żeglarza  
Na szalejącej, złowrózbnnej głębinie,  
Kiedy mu wiosło z rąk zmęczonych ginie  
I kiedy łódź się ku śmierci przeważa.

Nie wiem, czy dzisiaj, stanąwszy przedemną,  
Nie snem, lecz jawą, umiałabyś jeszcze,  
W strunach mej duszy dawne wzbudzić dreszcze...

Ale Twój obraz, odsunięty w ciemną,  
Odległą przestrzeń, nęcić nie przestaje,  
Jak nęcą owe z baśni niedościgłe raje.

## II.

Nieraz cię widzę tak blisko, że usta  
Chylę ku twoim, aby z ich kielicha  
Wszystką wieczorną wypić woń, w tem cicha  
Gaśniesz mi w oczach i znikasz, jak pusta

Bańka mydlana... Wnet ku duszy mojej  
Przychodzisz znowu: Czy to ta, co mam  
Nieugaszonej żądzy płomieniami,  
Hańby się ludzkiej i wstydu nie boi

I żar miłości, nie znający granic,  
Ani prawideł, na przekorę świata  
Z tchem najszczytniejszych bogomodleń brata?

Nie! sen to dawnych dni, który się na nic  
Rychło rozwiewa, żalu tylko mgławą  
Snując smugę za sobą, że nie jesteś — jawą.

## VIII. STARY, CZARNY KRZYŻ.

Stał przy drodze próchniejący,  
Stary, czarny krzyż,  
Mrok oplatał go wokół  
W podwieczorną ciszę —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Podziurawion był kulami  
Z dawno zmiłkłych bitw,  
Siadywała przy nim dusza,  
Ranne śniąca blaski —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Mnogi tędy tłum przechodził,  
Głuchy szumiał wiatr,  
A pobliski staw głęboką  
Spoglądał tęsknicą —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

O północy, na przyśnicy  
Błady płomyk kwitł:  
Hej! — mówiono — skarby leżą  
Ukryte pod krzyżem —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Wziął się śmiałek do motyki  
W świętojańską noc,  
Kości ludzkich garść wykopał  
Z zakłętej głębiny —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Przyszli wierni chrześcijanie,  
Schowali je w grób,  
Szatan resztki powyrzucał  
Człowieczej niedoli —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

I nie będą mieć spokoju  
Po wieczysty wiek —

Wieczór zemrze, ranek zgaśnie  
Dzień i noc zamilkną —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

W proch rozsypał się nad drogą  
Stary, czarny krzyż;  
Dusza siedzi na przyśniicy,  
Śni o ciemnej pustce —  
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

## IX. DZIEŃ MATKI BOSKIEJ ANIELSKIEJ.

Dzień Matki Boskiej Anielskiej: drewniany,  
W miłosnych żarach słońca poczerniały,  
Wiejski kościółek; wnętrze pełne chwały  
Gromnic; prefacja; przycichły organy;

Dźwięk ich wylewa się za próg; tłum ludu —  
Krase spódnice chustki, szare cuhy,  
Zaległy cmentarz; poszept idzie głuchy  
Z ust wpółotwartych: oczekują cudu...

Oto się spełnia... bije dzwon; w pokorze  
Niewysłowionej chylą się ku ziemi  
Prostacze, znojne, żądne Prawdy głowy.

A z lip, wsłuchanych w Tajemnicy boże,  
Milczące Słowo, pada kwiat: drżącemi  
Z dziwu rękami rwie go wiew sierpniowy.

## X. PROCESJA.

Baldachim, utkan z złota i purpury,  
Chwieje się w słońcu ponad falą głów —  
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów —  
Pod baldachimem, wzniesiona do góry,

Błyszczą monstrancja; triumfalne wtóry  
Brzmią, jakby świętych rozśpiewał się huf —  
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów! —  
Wraz wiewem szepcą chorągiewne sznury,

Cmentarny Chrystus na kamiennym krzyżu  
Wplata w te hymny modlitwę bez słów —  
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów!

A w feretronie Franciszek z Assyżu  
Śni tajemnicę, wielkich, przyszłych, snów —  
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów!...

## XI. MIŁOŚCI PEŁNE NIECH BĘDĄ TWE USTA.

Miłości pełne niech będą twe usta —  
Pocałunkami darz tę wrogą ziemię,  
Co, w mgły wieczorne otulona, drzemie,  
O nowym znoju-ć marząca. Niech pusta

Złość cię nie szarpic, że cię jej, ścierniska  
Krwawiły za dnia: liche żniwobranie

Miałeś, ty siewco bożych sów, na łanie,  
Chciwym sprawniejszych plugów... Ale śliska

Jest droga gniewu, wiedzie nad przepaścią,  
Do której strącisz ostatnią nadzieję  
I resztkę wiary, żeś był godzien plonu

Szlachetniejszego, zaś, na przekór chaściom,  
Ziemia-ć da sypki zbiór, gdy je obsieje  
Miłość, silniejsza od zwycięstwa skonu.

## XII. MRÓZ.

Baranią czapkę nacisnął na uszy  
I wyszedł w pole. Milczkiem przywitały  
Upierne świerki Mróz siarczysty, biały;  
Pod jego stopą suchy śnieg się kruszy.

Styczniowych nocy Pan zacier a dłonie,  
Iż stłumił życie po drogach; nie złowi  
Żadnego głosu. Tylko potokowi  
Szumy się z piersi wyrrywają. Po nie

Zgniewany idzie Mróz. Chce ściąć oddechem  
Moc, która płynie, kajdanom daleka.  
Zgiął się na brzegu, powiał lodem. W lesie

Zamarły drzewa. Lecz szumiąca echem  
Wieczności, w tajniach gór zrodzona rzeka  
Hymn swój, wciąż żywy, w dal miesięczną niesie.

## XIII. DROGA.

Wybrałem sobie drogę, której sanie  
Moich sąsiadów nie ruszyły. W lecie  
Krzewna tu rosła trawa, dziś zamiecie  
Biel swą pokładły na przemarzłym łanie.

Brnę po pas w śniegu, pot mi czoło zlewa,  
Choć takie zimno, że kawki i wrony  
Znikły, a wczoraj tłum ich wygłodzony  
Wrzaskiem oprzędzał te samotne drzewa.

Śmieją się ze mnie poczciwi ludziska:  
Poco wam, panie, trud ten? Tak się żali  
Chłop, który czasu dość miał poznać zbliska

Potrzeby życia... Lecz ja brodzę dalej,  
Zda mi się bowiem, że z tej drogi końca  
Zobaczę lepiej zachód mego słońca...

## XIV. DZWONKI SANEK.

Szczelnie dziś okna przysłoniłem w domu —  
Nie chcę, by zajrzał kto do mego wnętrza:  
Cisza w niem teraz włada przenajświętsza,  
Jej tajemnicy nie zdradzę nikomu.

Zali szczęśliwsza godzina być może  
Nad tę samotność, której siła żywa  
Gdzieś w ponadziemski przestwór nas porywa  
I w bezgranicznym zatapia przestworze?



Zdarzyła mi się przecież chwilka jedna,  
Że, gdym usłyszał bujne dzwonki sanek,  
Mknących po mrozie, jakaś moc bezwiedna

Do przysłoniętych pchnęła mnie firanek.  
Alem się oparł: pocóż księżyc złoty  
Miałby się chyłkiem zaśmiać z mej tęsknoty.

## XV. CICHE, SAMOTNE RZĘDY WIERZB.

Ciche, samotne rzędy wierzb nad rzeką!  
W godzinach zmierzchu, w dni, okryte szronem,  
Gdy z pustej izby uchodzi w daleką  
Przestrzeń ma dusza i broczy w czerwonym  
Morzu promieni, które sennie cieką  
W głębinę śmierci, melodyjnym tonem  
Tak ją przynęca ten wasz smutek mnogi,  
Że choć ma Raj przed sobą, staje wpół swej drogi...

Staje i wzrok swój, ze wzruszeń pobladła,  
Szle na rozległy obszar pól, przecięty  
Strugą srebrzystą, nad którą widziadła  
Pni waszych starych wypuszczają pręty  
Błękitnych tęsknic, i, łaknąca jadła  
Wspomnień wiośnianych, zrywa ledwie wszczęty  
Sen o zaświatach, by, łzami rzewnemi  
Zalana, z bolem dziecka tulić się do — ziemi...

Ciche, samotne rzędy wierzb! Niewiele  
Wchłonęła ona uciechy w tej kaźni  
Ludzkiego życia; lecz, jeśli wesele

Możnaby twórczym rylcem wyobraźni  
Wykuć w kosztownym, marmurowem dziele,  
Jak na posągach ci wodzowie głaźni,  
Błogosławiący zwycięskiej potrzebie,  
To w wasze-li wspomnienie wrzeźbiłaby siebie...

Tak! Nie wiedziała ma dusza i nie wie,  
Co znaczy spokój. Cisza przenajświętsza,  
Drzemiąca w mroków świątynnych zalewie,  
Była jej obcą!... Precz od swego wnętrza  
Mknęła, jak z gniazda na bezlistnem drzewie  
Ucieka ptactwo, gdy się nad niem spiętrza  
Zwał chmur, nasycon strawą burz, a przed nią  
Biegł goniec z nowych szarpań gorzką przepowiednią.

Jak ten wędrowiec, któremu się spieszy  
Wyjść z ciemnych gąszczy, albowiem ostatni  
Gaśnie już odblask promienistej rzeszy  
Ogni wieczornych, zablakanych w matni  
Głuchego lasu, tak ona, pieleszy  
Syta ojczystych, syta ciżby bratniej,  
Chwiejne, bywało, skrzydła rozprzestrzenia  
Ku krajom cudzoziemskim, ku strefom wytchnienia.

Szła, gdzie przedziwne huczą wodogrzmoty,  
Spływając szumną, kroplistą kurzawą  
Po alabastrach gładkich ścian na złoty  
Piaszek przydrożny; szła z swą raną krwawą  
Ku tym powiewom ukójnej pieśzcoty,  
W których, za wiatru łagodnego sprawą,  
Drżą przerozkosnie eukaliptów wierzchy,  
W bajeczne, w czarodziejskie zapatrzone zmierzchy.

U lodowcowych spoczywając zboczy,  
Głos swojej skargi, nie słyszany przez ludzi,  
Słała ku szczytów śnieżystej przezroczy,  
Zali współczucia w ich wnętrzu nie zbudzi:  
I wraz się echo rozlewne potoczy  
Głębią przestworów i takim ją ludzie  
Brzmieniem organem, jakby głąb daleka  
Zmieniła w wielkie szczęście wielki ból człowieka.

Albo się pięła na skalne urwiska,  
Wzrokiem rozległe obejmując kręgi,  
W mżach zatopione błękitnych i, bliska  
Zmilkłej, tajemnej niebiosów potęgi,  
Która wokoło chłodne światło ciska  
Na fale świerków, na drzemiące łęgi,  
Precz usuwała granice pomiędzy  
Władaniem zbawczej śmierci i żywota nędzy.

Nad jeziorami błędząc, na pół senna,  
Śledząc radosne łodzie po lazurze,  
Słonecznych pełne uśmiechów, lub z lenna  
Zagasłej chwały, z ruin, jasne róże  
Rwąc w zamyśleniu, albo bezimienna  
W swych towarzyszek głośnym krocząc chórze  
Po marmurowych willach, rozkosz świata  
I smutek przenajgłębszy w jedną nicłość spleta.

A w tych wędrowkach, wzniosłą czy powszednią  
Wlokła się drogą — czyż były godziny,  
Ażeby naraz, jakby przepowiednią  
Kary brzemienne przypomnienie winy  
Nieopłaconej, nie ozwał się przed nią

Mrocznych przepaści ten widnokrag siny,  
Za mgłą ukryty niezmierną, daleką,  
Z samotnym, cichym rzędem starych wierzb nad rzeką?

Gdzież jej, tak biednej, a tak winnej duszy  
Mdlejące żądze ukojeń nie wiodły?!  
W katedr potężnych uroczystej głuszy  
Stawała, nieme odprawiając modły;  
Wsparta o filar, ani się nie ruszy,  
Patrząc pokornie w ten półblask wychłodły,  
Gdzie na ołtarzach, przystrojonych w zieleń,  
Rozlewa się przedziwna tajemnica Wcieleń.

Pomiędzy kolumn bazaltowych rzędy,  
Które się przed nią, niby żywe, snuły —  
Strzelistych duchów wymowne legendy —,  
Kroki swe niosła i swój umysł, czuły  
Na gigantyczne gwary i rozpędy,  
Rozgrane w ciszy stuleci, kopuły  
Wypełniającej wielką ceromonją  
Nabożeństw, co zagasły, a jednak się płonią...

Popod kamienne cisnęła się wnęki,  
Okiem, rozwartem od nagłej zadumy,  
W cudownych rzeźbach śledząc boskiej ręki  
Ukryte piętna, czując, że rozumy  
Ludzkie bez skutku odgadują męki  
Twórczej rozkoszną tajemnicę, w szumy  
Niebiańskich skrzydeł zaklętą, bez końca  
Pchającą swych wybrańców do wiecznego słońca.

Pod grobowcami stając, prowadziła  
Niemy rozhovor z tęsknicą rycerzy,  
Wykutyh w głazie: bo taka w nich siła,  
Taki hart życia w ich spojrzeniu leży,  
Iż porfirowa niejedna mogiła  
Zda się nie grobem, ale jest jak świeży  
Namiot wśród pola i że świat z tej kuźni  
Nowego bohaterstwa na czyn się nie spóźni...

Surowi święci, którym nieuchronny  
Cień śmierci okno przysłonił w godzinie  
Rannych przebudzeń, okno w nieboskłony,  
Bezmierny przestwór; chmurne prorokinie  
I życiodajne, przejasne Madonny,  
Ciała pokutnic, złorzeczających winie  
Łzą i żrenicą, zwróconą ku wyży,  
Skąd spływa odpuszczenie na ramionach krzyży —

Obrazy sądu, huczące surmami  
Archanielskimi swoich twórców imię;  
Wizje zmartwychwstań, zespolonych z nami  
W jakieś pragnienie barwne i olbrzymie,  
A melodyjne, że my, zda się, sami,  
Acz wychowani w mętach łez i w dymie  
Złudnych nadziei lecim mocą Łaski  
W promienną, dźwięczną prawdę, w zmartwychwstanie  
[blaski.

Tych wszystkich uciech drogocenną czaszę,  
Cyzelowaną w złocie, chyli do dna,  
Przy świętej uczcie korna, jako ptaszę,  
A jednak dumna, górna i swobodna:  
Wszystko to — mówi — zwiastowanie nasze!

Wszystko to ducha urodziła płodna  
Moc na świadectwo, że jesteśmy z Boga,  
Że k'Niemu przez te twory ludzkie idzie droga!

I ślubowania niewymowne czyni  
I niewymowne szczęśliwości marzy:  
Męczeńskie lilje zakwitają przy niej,  
Bieże jej niosą pustelnicy starzy;  
Na odgłos kroków w bezładnej świątyni,  
Odbijających się od snu witraży,  
Całe procesje w jej oczach się rodzą  
I kroczą pod wielkiego Twórcy woda.

I ona idzie z niemi: Panie! Panie!  
Wesoła śpiewam przed Twą świętą arką!  
Żadnego bólu szpon mnie nie dostanie  
I żaden ciężar nie będzie mym barkom  
Silnym za ciężki!... I anielskie granie,  
Urągające doczesnym jarmarkom,  
Wtórzy jej hymnom — wspaniała muzyka,  
Co duszę żądzą wlotów nadziemskich przenika.

Z ołtarnych płócien, z ścian, co chwałę wieszczą  
Twórczej wszechmocy kolorów wymową,  
Schodzą Madonny i słodko ją pieszczą;  
I Chrystus rękę swą mozaikową  
Wyciąga ku niej; i ona tym dreszczom  
Całą się podda i, z wzniesioną głową,  
Snać skamieniawszy w przeźroczym zachwycie,  
Jedną li widzi przestrzeń: nieśmiertelne życie!

Melodje płyną do jej wnętrza — pieśni,  
Które z mistycznej swobody wysnuli  
Mistrze dławiący, się w więziennej cieśni  
Tej gwiazd wpółzgasłych pobratymczej kuli;  
A ona, płonąć ogniami, jak trześni  
Dojrzały owoc, w te dźwięki się wtuli  
I, snąc dojrzała pragnieniem wieczności,

Już czeka, aby w rajskie zaniosły ją włości.  
A gdzieś z oddali, do stóp jej się ciśnie  
Sinawa smuga — to błyska, to gaśnie,  
To się podnosi, to dołem zawiśnie  
Jak na moczarach owe błędne jaśnie,  
Które wędrowcom, jak gdyby rozmyślnie,  
Rzucają w serce niepewności waśnie  
I, na bagniste zawiódszy rozdroże,  
W sitowiach ostateczne ścielą dla nich łoże.

I, jak różańca rozrzucone ziarna,  
Sypią się na nią pytania: Ach! czyja  
Dłoń tutaj władnie, tak można, iż czarna  
Wstęga trzęsawisk tłumi i zabija  
Światłość nadziejską? Że chwyta bezkarna,  
W swoje zarośla wątłą duszę?... Żmija  
Rani nas żądłem swoim mniej zjadliwie,  
Niż smutek, który wyrósł na tej mgławiej niwie.

O niezgłębione, nieskończone morze!  
Ty biczące swoje fale własne  
Z takim pomrukiem, jakgdybyś w przestworze  
Władło-li jedno, jakbyś gwiazdy jasne  
I wszystkie lądy, ich słońca i zorze

Do ustąpienia zagniło, za ciasne  
Bojąc się znaleźć łożysko dla siły,  
Z jaką się twoje wszystkie głębie rozpieniły!

Przysłuchiwała się dusza twym głosem,  
Kuląc się w sobie z lęku i zdumienia,  
Albowiem czuła, że szum ten niebiosom  
Wyrwałóś gniewnym wówczas, gdy stworzenia  
Były raz pierwszy porzucone losom  
Na żer haniebny! I tak się rozplenia  
Od owej chwili, tak swe ślady znaczy  
Po świecie ślepa dola samotnych tułaczy.

Ale nie zawsze byłoś tak wszechmożnie,  
Majestatycznie bezlitośnie! Mewy  
Słaóś jej srebrne, skrzydłami ostrożnie  
Zakłócające sennej piany śpiewy —  
Zjawiska łodzi z bielą żagli, zbożnie  
Płomieniejących śród żarnej ulewy  
Blasków zachodu i wschodu, sły do niej  
Z błękitnej, horyzontem zamkniętej ustroni.

I otwierała ku nim swe ramiona  
Ta błędna dusza — zali nie wysłańce  
Idą z dziedziny, gdzie cierpienie kona  
I gdzie tułactwa znajdują się krańce...  
Lecz kiedy znowu fala rozburzona  
Poczęła fale chwytać w dzikie tańce,  
Wnet z wierzb obrazem, co nagle z pomroku  
Wychylał się, w świat dalszy przyspieszała kroku...

Ciche, samotne rzędy wierzb — — — — —

## XVI. FRAGMENT.

Święta, jedyna pieśni! Ty, łowiąca  
Szumy i szepty, które sennie płyną  
Z za niewidzialnych granic! Oto znowu  
Zbliżam się k'tobie i znowu spoglądam  
W głębie twych oczu, słodka miłośnico,  
I jakby w rżniętej z kryształu soczewce,  
Która skupionym wypala promieniem  
Rękę, żądliwą słonecznych stygmatów,  
Widzę w twych oczach katuszę i rozkosz,  
Odrzmiwające drganiem żarnych pragnień  
Mojej rozkoszy i mojej katuszy!  
Usta ci kładę na pierś niespokojną,  
Rozfalowaną tajemiami przebudzeń  
Jakichś niezwykłych, dotychczas nieznanych,  
W ciemnościach łona spowitych żywotów,  
Oczekujących widomych ujawnień,  
I usta moje ogarnia niepokój...  
Lękam się trwogą wyczerpanej siły,  
Czy w ust tych czarze, wypełnianej gorzką,  
Powszednie głody sycącą słodyczą,  
Znajdzie się dosyć i miejsca i władzy,  
Ażeby mogły wchłonąć żar twój czysty,  
Przełać go w duszę i zblaknąć i umrzeć  
Z zabójczej woni nadmiernych upojeń...  
Dokąd pójdziemy? Powiedz! Mów! Czy znowu,  
Niesyta wstrząśnięć, pragniesz być odrzmieniem  
Nadciągających nawalnic, jak wówczas,  
W dniach niedogastych, kiedy chwiejna, słaba,  
Z skrzyżowanemi na piersiach rękoma,

Stawała dusza u wywierzyisk nędzy  
Swojego życia, niezmiernych, jak smutek,  
Który przenikał Twórcę, gdy na lica  
Stworzeń wyciskał piętno własnych bólów?  
Może, jak ongi Dusza, pragniesz znowu  
Swe porażone, z promieni otarte,  
Zamilkłe oczy wlepiac w błyskawicy  
Czerwień złowrogą, a uchem, stępiąłem  
Od górnych szumów i krwawych łoskotów,  
Gniewu bożego straszne łowić gromy,  
Na wargach tłumić kłatwy albo szepty  
Bezradnych modłów, cisnące się z krtani  
Perlistym sznurkiem rozłkanych krwotoków?  
Tak, czyliż mamy znowu być, jak ongi,  
Niby dwa wielkie, ponadmiar wyrosłe,  
Potworne cienie czarnego, ponadmiar  
Twey wyobraźni wzrosłego obłoku,  
Którym On, w ślepej nienawiści świata  
Sąd sprawujący surowy nad biedną  
Duszą człowieka, przesłonił swe oczy,  
Aby nie widzieć ran jej? Czyż znów mamy  
Stanąc w oblaskach tych groźnych płomieni,  
Rażących dzieło Jego własnej Duszy?  
Czyż mamy tulić się do skał z przestrachu  
I z przerażenia, gdy od Jego gromów  
Zdają się stapiać w niebotyczną bryłę  
Wszystkie załomy, wszystkie kanty, wszystkie  
Strzępy granitów, jak ongi, gdy głaźnym  
Wytrysły zwałem z pękającej ziemi?  
Czyż, ledwie wazki czując skraw oparcia  
Dla słabych palców naszych, nóg strudzonych,  
Mamy, zawiśli nad przepaścią zmroków,

Trzymać się dłońmi aż do krwi tych chwiejnych,  
Jego razami kaleczonych urwisk?  
Czyż martwą głębią oczu, które z lęku  
Snać już na zawsze straciły świadomość  
Ujrzanych niegdyś wiosennych rozświetli,  
Mamy spoglądać w tę dolinę świata,  
Gdzie noc i luny pożarów i ciężkie,  
Zgęszczone męty powodzi i płacze  
I klątwy ludzi ginących i zboża  
Padłego skonne, wyziewne westchnienia  
W jedną grobową utkały się przedzę,  
W całun dla jego dobroci i głuchej  
Sprawiedliwości?... Potoż my się mamy  
Borykać z Stwórcą, aby jednym ruchem  
Swojej powieki pokazał stworzeniu,  
Że jego wnętrze jest słabością sługi?  
Że wobec Niego głuchem jest i niemem,  
Chociażby miało w sobie wszystkie struny,  
Na których wichry wygrywają hymny,  
Rozrywające dziko słodkie węzły  
Pomiędzy nami a Nim?!... Czas już dawno  
Nadszedł dla ciebie, ażebyś umiała  
Lekceważąco kopnąć ból, choć chmurne,  
Tajemniczością pomarszczone czoło  
W królewską lubi ozdabiać obrączkę,  
Chociaż się mieni panem serc wszechmocnym,  
Choć towarzyszy wcielaniu się Ducha  
I choć ustami jego lka w żalobnej  
Chwili wyzwolin... Pójdźmy w to powszednie  
Roisko mrówek!... Co za tłum! Żebrzący  
Litości bożej, tak jak my oboje!...  
Każdemu z oczu bije żal!... Najmniejszy

Nieznacznym płatek śnieżystej kurniawy,  
Którą Bóg zmroził w drodze ku tej ziemi;  
Najlichszy pyłek w tym proszku człowieczym  
Którym On, chcąc się zabawić, obsypał  
Tę naszą smutną gwiazdę, aby przyćmić  
Jej blask pierwotny — każdy ma swą wielką,  
Swoją bezmierną, swą jedną jedyną,  
Nieprzemoloną tragedję!... Do syta  
Spospolitował się ten gorzki orszak:  
Jedni tak szczerze płaczą, że jak brony  
Stały się lzy ich, albo też jak radła,  
Puszczone ostrzem w twardą głębę! W bruzdy  
Skrajane mają policzki i skronie,  
W bruzdy, na których hojny posiew smutku  
Wyrósł i bladym zakwitł chryzantemem.  
Innym już nawet braknie łez; bezpłodnie  
Zawiedło serce, które tak obficie  
Rzuca naokół owocami żalu:  
W dłoniach ukryli twarze, pochyleni  
I nie mogący się już wyprostować,  
Bo dawno pytać przestali: dlaczego?  
A inni znowu uwięźli na miejscach,  
Jak szereg słupów kamiennych, jak hermy,  
Poustawiane przy drodze wieczności,  
Ciosane ręką wielkiego Drwinkarza,  
Który z igraszki, w krotocwilnym śmiechu,  
Wrzeźbił w ich rysy urągłiwy wyrzut  
Dla ich własnego Stwórcy, a jedynie  
Wstrzymać się nie mógł i martwym ich oczom  
Tyle wyrazu dał dziwnego smutku,  
Tyle rozpaczy i tyle niedoli,  
Że kiedy spojrzy na nie, a spoglądać

Musi, w tej chwili, nagle, zapomina  
O ich szyderstwie i w własnych źrenicach  
Czuje odbicie ich nędzy i — płacze...  
Płacz, ty swawolny Rzeźbiarzu grymasów  
Maskaradowych! Płacz, ty wielki Zduniu,  
Który, usiadłszy w słonecznym warsztacie,  
Lepisz codziennie miliony garnków  
I słońce spalonych napelniasz popiołem  
I potem zgięty nad niemi, jak dziecko  
Z rozigranemi oczami nadymasz  
Swoje policzki i dmuchasz w ich wnętrze,  
By się ten popiół rozwiął na okręgi  
I szarą przykrył żalobą najbielszą,  
Najuroczystsza, najjaśniejsza wiosnę...  
Płacz, Arcymistrzu wspaniałych egzekwii,  
Co trumny miękkim naodziewasz kirem,  
Na katafalki wznosisz podsozrębne  
I gromnicami obstawiasz, z zakrystyj  
Najposepniejsze wyciągasz ornaty,  
Z mory i czarnych jedwabiów, z srebrzystym  
Krzyżem na plecach!... Płacz, Ty, co wymyślasz  
Najprzenikliwsze melodje, tak strasznie  
Słodkie i jasne w swoim gorzkim mroku,  
Że się do syta napięścić nie może  
Ta moja dusza, kąpiąca się w dymnych  
Kłębach bursztynu... Płacz-że, płacz, ty wprawny,  
Chyży kościelnych wrótni Otwieraczu —  
Już poza progiem Twój orszak...  
— — — — —  
Święta, jedyna pieśni! Ty, łowiąca  
Szumy i szepty, które sennie płyną  
Z za niewidzialnych granic!... Oto znowu

Zbliżam się k'tobie i znowu spoglądam  
W głębie twych oczu, słodka miłośnico,  
I żebrzącemi śniem cię błagać słowy,  
Iżbyś stanęła przy mnie już nie z bolem,  
Ale z słoneczną, wiosenną radością,  
Która daleko, od ziemi, u kresu  
Ludzkiej tęsknoty, roświetli mi bezmiar  
Świętych tajemnic!... On tam władnie, jasny,  
Cichy, spokojny Rozdawca spokojnej,  
Jasnej, słonecznej, gwarom, krwawym krzykom,  
Łzom i rozpaczom świata niedostępnej  
Nieśmiertelności...

## XVII. BALLADA O SŁONECZNIKU.

Stary, oślepy słonecznik  
Sam jeden mi jeszcze pozostał  
Z wszystkich mych kwiatów-przyjaciół  
W tym zachwaszczonym ogródku;  
Słyszałem-ci nieraz w nocy,  
Jak wichr bez miary go chłostał,  
Nie mogłem mu żadnej dać ulgi,  
Chyba pociechę smutku —  
Lepiej się puścić w tan...

Upilem się kiedyś wieczór —  
Wino zbawienną jest mocą: —  
Pięćcią wytlukłem szybę,  
W gór łańcuch patrzę daleki —  
Ponoć to śniegi tam leżą,

Ponoć to gwiazdy migocą,  
Ciężary mroków wilgotnych  
Na ciężkie mi spadły powieki —  
Lepiej się puścić w tan...

Ponoć to łąki wyschnięte,  
Bezlistne jasionie przy drodze,  
To ponoć olchy nad bagnem,  
To kępy zwiędłych rogoży;  
Ponoć to ludzkie rozpacze  
Puściły krokom swym wodze  
I spieszą w mgławych całunach  
Na pogrzeb litości bożej —  
Lepiej się puścić w tan...

Ponoć i ja miałem braci,  
Na straszną gdzieś poszli wojnę —  
Śmierć rzekła mi o tem wszystkim,  
Całując spiekle mi usta — —:  
Niech huczy ta czarna głębia,  
To morze lez niespokojne,  
Niech wiatrem dyszy jesiennym  
Ta ziemia, krwią ich tłusta —  
Lepiej się puścić w tan...

Stary, oślepy słonecznik  
Przez szybę się wciska stłuczoną  
Do mej wesołej izdebki,  
Pełnej zapachu wina:  
Pożegnał się już oddawna  
Ze swą złocistą koroną,  
Łyse, zczerniałe skronie

Na piersi moje zgina —  
Lepiej się puścić w tan...

Jak pies, tak się lasi do mnie,  
Do mego tuli się lica:  
Wielką uczulem kroplę  
Na rozżarzonej twarzy:  
Rosa mu z jamy pociekła,  
Gdzie ongi była źrenica —  
Stary, oślepy słonecznik  
Głośno się, milcząc, skarży —  
Lepiej się puścić w tan.

Nie drwij ze siebie i ze mnie,  
Ty z moich druhów ostatni!  
Wszyscyśmy na to stworzeni,  
By błogosławić śmierci!  
Niech rycerz ginie od stryczka,  
Jesiotr niech dławi się w matni,  
Bóg z swego tronu niech spada,  
Włócznie niech w bok się wwierci — —  
Lepiej się puścić w tan!

Nie będzie ci ulgą mój smutek:  
Upił się dzisiaj radością,  
Ześ tak nikczemnie zmarniał,  
Ty, coś spoglądał w słońce;  
Inne lekarstwo ci niosę,  
Co daje próchnienie kościom,  
A duszę — hej! pijcie ze mną,  
Pijani śmierci gońce,  
Puście się razem w tan!



Ostatni liść z niego zdarłem,  
Ostatniem wyluskał ziarna,  
Zdrzewiała twardą łodygę  
Ręką chwyciłem pewną:  
Z korzeni się pod me okna  
Ziemia sypnęła czarna,  
Stary, oślepy słonecznik  
Snać łąą zapłakał rzewną —  
Lepiej się puścić w tan...

Wstałem nazajutrz — czy zbawca,  
Czy zbrodniarz? — hej! któż mi to powie!  
Zbudziłem się w izdebce,  
Pełnej zapachu wina...  
Stary, oślepy słonecznik  
Bez złotej korony na głowie  
Jużci swojego smutku  
Do smutków moich nie zgina —  
Lepiej się puścić w tan...

### XVIII. PIEŚŃ O PANI, CO ZABIŁA PANA. Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Stała się nam nowina,  
Wiatrami zdała przywiana;  
Na zamku, na rycerskim,  
Pani zabiła pana.

Zabiła go w noc ciemną,  
Rutę posiała na grobie:

Żal-ci nam będzie, mój kwiecie,  
I mnie żal będzie i tobie.

Chrobrego pojął męża,  
Hyry szły o nim po ziemi:  
Dziś on pogrzebion w dole,  
Ja płaczę łzami rzewnymi.

Rutę zasiewam zieloną,  
Ruta mu z łona wyrasta:  
Wyjdz z mieczem mściwym w rękę,  
Na miecz twój czeka niewiasta.

Nie widzę już twych oczu,  
Do warg się twoich nie tulę —  
O jakieś mi promieniał,  
W żelazną odzian koszulę!

O jakiś rósł mi w niebiosy  
W obłyskach rycernej chwały,  
Siedzący na siwym koniu,  
Gdy rogi wojenne grzmiały.

Gaszek mi siedzi przy boku — —  
Przez twarde serce twoje?  
Żonę-ś samotną zostawił,  
Na szumne ruszyłeś boje!

Po dworca zmiłkłych komnatach  
W żalnej się błąkam tęsknocie —  
Łożnicze zgubiłam klucze,  
Myślę o twoim powrocie.

Gaszek przy boku mi siedzi —  
Odejdź zdradzieckie pachole:  
Chrobrego pojęłam męża,  
W krwawe wyruszył pole.

Na siwym wyruszył koniu,  
Złote tętniły podkowy;  
Rycerną okryj się chwałą,  
Powracaj do dom zdrowy!

W dostojnym powrócił blasku,  
Hyr przed nim szedł rozgłośnie —  
Dziś go ukryłam w grobie,  
Ruta dziś na nim rośnie.

Niedarmom cię posiała —  
Rośnij-że, ruto zielona!  
Czemuś wyruszył w boje?  
Czemu samotna twa żona?

Rośnij-że, ruto zielona — — —  
Zali to tętent na moście?...  
Idź, dziewczko, spojrzij z wieży,  
Jacyś k'nam jadą goście.

Hej! jadą zbrojno i strojno,  
Pochmurną widzę kurzawę —  
Duszna spiekota na ziemi,  
Słońce zapada krwawe.

Hej! strojno jadą i zbrojno  
Aż mi się mąci w głowie,

Tak lśnią się na karych koniach  
Ci nieboszczyka bratowie.

Szabelki im pobłyskują,  
Czerwone pod nimi siodła —  
A witaj-że nam bratowa,  
Wielka nas tęskność wiodła...

Nadeszła ku nam nowina,  
Wiatrami zdala przywiana;  
Na zamku, na rycerskim,  
Pani zabiła pana.

Przec ci pobladło tak liczko,  
Fartuszek twój skrwawiony:  
Brata chcieliśmy przywitać,  
Z obcej jadący strony.

Na karych jadący rumakach,  
Przytępiliśmy ostrogi —  
Tak spieszo było nam k'tobie;  
Gdzie mąż twój, gdzie brat nasz drogi?

Krople spływają po siodłach,  
Pot się na grzywach pieni,  
Duszna spiekota wśród pola,  
Do chłodnej wiedz nas sieni.

Słońce zachodzi krwawo,  
Niebo zorzami płonie,  
Rutę siewałaś na grobie,  
Zmęczone drżą ci dłonie.

Witaj nam, witaj, bratowa!  
Z radości padasz wielkiej:  
Kity nam lénia się na hełmach,  
Przy boku błyszczą szabelki!

Pragniemy uścisnąć brata —  
Gdzie mąż twój, gdzie brat nasz luby?  
Sto wroga o ziem powalił,  
Z stu hełmów zerwał czuby.

Rycerną się okrył chwałą,  
Świat ją na wieki przechowa:  
Szczęśliwsza gdzież jest żona?  
Szczęśliwa witaj bratowa!

Do chłodnej wiedz nas sieni,  
Mężowską otwórz łóżnicę,  
Skrwawiony twój fartuszek,  
Pobladło twoje lice...

Ani mi lice pobladło,  
Ani mój fartuch skrwawiony — —  
Ruta na grobie rośnie — —  
Małżonek odbiegł żony...

Nie wrócił z wojennej wrzawy,  
W żalu samotna ginę —  
Słyszałam, że w obcych krajach  
Wesołą ma godzinę.

Ruta na grobie mi rośnie,  
Po serce mi rośnie, o dziwy!

Z gamratką czas ci ubiega,  
O drogi mężu zdradliwy!...

Zamilkły o nim hyry,  
Zgasła rycerna chwała,  
Zdradzona tylko żona  
W niezgasłym smutku została.

Chwyć konie za uździenice,  
Staw je, pachole, przy żłobie — — —  
Witajcie mili bratowie — —  
Ruta wyrasta na grobie...

Na oścież bramy otwarte —  
Witajcie, bratowie mili:  
Dawnom już, dawno nie żyła  
W takiej radosnej chwili.

Przynieście złote puhary,  
Miodu rozlejcie strugi —  
Czekałam na uctowanie,  
Czekałam czas tak długi!

Siądźcie przy krągłym stole —  
O jak wam błyszczą szabelki!  
Kity się chwieją na hełmach,  
Ginę z radości wielkiej!

Duszno w dziedzińcu i parno —  
Słońce zapada krwawe —  
Zwycięstwo bije wam z oczu,  
Na czole widać sławę...

Siądźcie w dębowej sali,  
Ochłodźcie spiekle usta;  
Rumieniec na nich zakwitnie,  
Odświeży je radość pusta.

Trąćcie się ze mną kielichem —  
Gdzie jesteś, mężu zdradliwy?  
Ruta na grobie rośnie,  
Po serce mi rośnie, o dziwy!...

### XIX. PIEŚŃ O BURMISTRZANCE. Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Poszli z<sup>▼</sup> siecią rybarczycy  
Na wielkie jezioro.  
Radują się, weselą się:  
Będzie rybek sporo.

A trzcina szeleści...

Radują się, weselą się —  
Hej! nasz mocny Boże!  
Ja-ć gromnicę na ołtarzu  
Woskową położę...

Ja-ć koronek zmówię cztery  
I za mszę zapłacę,  
Tylko dobry daj nam połów,  
Wspieraj naszą pracę!

Poszli zbożni rybarczycy  
O poranku, w lecie,  
Zapuscili na głębinę  
Białe, lniane siecie.

Idą na dno siecie lniane,  
Trzcina w krąg szeleści —  
O czym prawi chwiejna trzcina?  
Jakież niesie wieści?

Czy o skarbach zatopionych?  
Czy o rybce złotej,  
Którą złowił rybak młody,  
Ginący z tęsknoty.

Czy o siostrze trucicielce?  
Czy o zradnej żonie,  
Co, zabiwszy swego męża,  
Poszła spać na tonie?

Z żalu poszła i rozpaczy  
I śpi do wieczora,  
A zaś nocą wstaje z głębin,  
Siada u jeziora.

Widzieli ją starzy ludzie:  
Wyżarte ma oczy,  
Łono w szmaty poszarpane,  
Ręka we krwi broczy...

Starzy ludzie ją słyszeli —  
Woła na wsze strony:

— Oczy wzrok mi twój wypalił,  
O mężu zdradzony!

Płyną zbożni rybarczycy,  
Siecie idą na dno —  
Dobry połów! ciągnij, bracie!  
Wyciągnąć nie snadno!...

Widać, szczupak choć na łokiec,  
Albo jesiotr duży —  
Kto się umie wziąć do dzieła,  
Temu szczęście służy...

A trzcina szeleści...

Hej! nie szczupak to, ni jesiotr —  
W białe, lniane siecie  
Ułowili rybarczycy  
Niewiniątko-dziecię.

Niewiniątko ułowili,  
Niosą je do miasta:  
Każ-że dzwonom bić, burmistrzu,  
Gdzież ta zła niewiasta?!

Gdzież ta matka? Gdzież zbrodniarka?  
Dziewczyna czy pani?  
Wstydem serca napęlniła,  
Miecz katowski dla niej.

Miecz katowski albo topiel  
Na wieczną pogardę —

Każ-że dzwonom bić, burmistrzu,  
Sądy sprawuj twarde!...

Biją dzwony po ulicach  
Głoszą głosiciele:  
Hańba spadła na gród stary,  
Wygnała wesele!

Na jeziorze, na głębokiem,  
W białe, lniane siecie  
Ułowili rybarczycy  
Niewiniątko-dziecię.

Burmistrz zasiadł na strasziwe  
Sądu sprawowanie:  
Która w duszy ma niewinność,  
Niech przed sądem stanie!

Biją dzwony uroczyste  
Na kościelnej wieży,  
Do ratusza przed burmistrza,  
Orszak dziewic bieży.

Spieszą tłumnie, w białych sukniach,  
Z liljami w ręku —  
Nie boją się głosicieli  
Ani dzwonów dźwięku.

Nie boją się błysku miecza,  
Ni młwńskich kamieni;  
Jeszcze nam się wian ruciany  
Na skroniach zieleni!

Jeszcze białe w naszych rękach  
Nie zwiędły lilje!  
Która winna, niech jej oczy  
Mokra rosa pije!

Wszystkie zeszyły się dziewice  
Z różanymi wianki — — —

Dzwony biją, a trzcina szeleści — — —

Niema jednej między niemi  
Panny burmistrzanki...

A trzcina szeleści...

Gdzież ma radość? gdzież me szczęście?  
Koniec z tą nadzieją?!  
Wstał pan burmistrz, okiem wodzi,  
Nogi mu się chwieją.

Bijcie dzwony! Niech głos płynie  
Nad ranne niebiosy!  
Zjaw się, córko! chroń od hańby  
Siwe moje włosy!

Biją dzwony, ku jezioru  
Straszne lecą wieści,  
Nad jeziorem chwiejna trzcina  
Szeleści, szeleści...

O czym szepce trzcina chwiejna?  
Czy o rybce złotej,

Którą złowił rybak młody,  
Ginący z tęsknoty?

Czy o siostrze trucicielce?  
Czy o zradnej żonie,  
Co, zabiwszy swego męża,  
Poszła spać na tonie?

Ni o siostrze, ni o jęku,  
Idącym w wsze strony:  
Oczy wzrok mi twój wypalił,  
Mężu mój zdradzonny!

O rybakach trzcina szepce,  
Którzy w lniane siecie  
Ułowili, zamiast rybki,  
Niewiniątka-dziecię.

O tej biednej burmistrzance,  
Co na brzegu siadła  
I żałuje i narzeka,  
Nieszczęsna, pobladła.

U stóp wianek poszarpany,  
Zmięta lilja biała...  
Hej! niegodnam-ci ja życia,  
Śmierć mi pozostała!...

Szumiej trzcina! niech twe szumy  
Idą w świat daleki:  
Na dnie moje dziecięczo  
Śpi już, śpi na wieki!...

A dzwony dzwonią na wieży...

Nie będziesz mi w słońcu rosło,  
Jak ten kwiatek w polu,  
Patrzeć w oczy mi nie będziesz,  
Dusza kona z bólu!...

Bijcie dzwony, wstyd mój głoście,  
Wstyd wypiję do dna,  
Już mi tylko śmierć została,  
Świata-m ja niegodna!

Przyjdźcie po mnie, pachołkowie,  
Zapłacę za winę:  
Niech dziewice spojrzą na mnie,  
Niech z tej hańby zginę.

Niech mi ojciec własną ręką  
Wydrze serce z łona  
Niech się córki swej wyrzecze  
Matka ma rodzona...

Niech odepchnie mnie w żalości  
Ma jedyna siostra:  
Gdzież jest kara na zbrodniarkę  
Za gorzka, za ostra?

Spieszcie, spieszcie, pachołkowie —  
Co prędzej! co prędzej!  
Przed trybunał zaprowadźcie  
Widmo mojej nędzy!...

Pospieszyli pachołkowie,  
Przed sądy ją wiodą —  
Na topielną śmierć skazano  
Burmistrzankę młodą.

Hej! tonęła burmistrzanka  
Na wielkiem jeziorze,  
Widzi: ojciec łzę ociera —  
Mój Boże! Mój Boże!...

Żal jej życia się zrobiło —  
Tak pięknie dokoła —  
I na ojca rodzonego  
Żalośnie zawoła:

— Ratuj-że mnie, ojczcie drogi,  
Wyciągnij te dłonie,  
Niechże córka twa rodzona  
Tak marnie nie tonie!

— Toń-że do dna, córko moja,  
Nieszczęsna, toń do dna,  
Boś ty świata już bożego  
Niegodna! niegodna!

Biją dzwony,  
Głucho biją,  
A trzcina szeleści...

Hej! tonęła burmistrzanka  
Na wielkiem jeziorze,

Widzi: siostra łzę ociera —  
Mój Boże! Mój Boże!

Żal jej życia się zrobiło —  
Tak pięknie dokoła —  
I na siostrę swą rodzoną  
Żałośnie zawoła:

— Ratuj-że mnie, siostró droga,  
Wyciągnij te dłonie,  
Niechże siostra twa rodzona  
Tak marnie nie tonie.

— Toń-że do dna, siostró moja,  
Nieszczęsna, toń do dna!  
Boś ty świata już bożego  
Niegodna! niegodna!

Biją dzwony, głucho biją,  
A trzcina szeleści...

Hej! tonęła burmistrzanka  
Na wielkiem jeziorze,  
Widzi: Matka łzę ociera —  
Mój Boże! Mój Boże!

Żal jej życia się zrobiło —  
Tak pięknie dokoła —  
I na matkę swą rodzoną  
Żałośnie zawoła:

— Ratuj-że mnie, matko droga,

Wyciągnij te dłonie,  
Niech twa córka w tem jeziorze  
Tak marnie nie tonie!

— Nie dam ci ja, córko moja,  
Tak marnie iść do dna,  
Choć sędziowie obwieścili,  
Żeś świata niegodna!...

Sprawiedliwe-ć trybunały —  
Sam ojciec rodzony  
Z łzami w oku kazał dzwonić  
W te pogrzebne dzwony.

Aleć serce twojej matki  
Wyroku nie powie —  
Ratujcie mi drogą córkę,  
Niezlomni sędziowie!

Ratujcie mi córkę drogą,  
Ratujcie jej wiosnę —  
Albo niech i dla mnie dzwonią  
Te dzwony żalosne...

Zmilkły dzwony na dzwonnicy,  
Ucichło powietrze...

A tylko trzcina szeleści...

Powracają w dom sędziowie,  
A lica ich bledsze...



Powracają w dom, za nimi  
Orszak dziewic bieży:  
Lilje w ręku, a na skroni  
Mają wianek świeży...

Zmilkły dzwony, tylko trzcina  
Nad wodą szeleści...  
O czym-że to, szumna trzcino,  
Przynosisz nam wieści?

— Ani o tej rybce złotej,  
Ni o zdradnej żonie,  
Ni o siostrze trucicielce  
Ślę ten szum na tonie.

Ani o tych rybarezykach,  
Którzy w lniane sieci  
Ułowili nie jesiotra,  
Lecz niewinne dziecię.

Ani o tej burmistrzance,  
Co nad brzegiem siada,  
Z podeptaną u stóp rutą,  
Żorująca, blada.

Szumie sobie hej! o matce,  
Która poszła do dna  
Za tą córką, choć ta córka  
Świata już niegodna...

I szumi tak na wieki...

## XX. PIEŚŃ O WALIGÓRZE.

Pod turniami ciemne rosną smreki,  
W ciemnych smrekach jasne złotogłowy.

Z skalnych szczytów spieszy Waligóra,  
Nito potok, nito mgława chmura.

Od krzesanic silniejsze ma nogi,  
Krzesanice ściera w piarg ubogi.

Śpiewający pospiesza ku hali,  
Głazne złomy do przepaści wali.

W głębi żlebów czyni huk daleki —  
Pod żlebami ciemne rosną smreki.

Na okrajach budzi szum echowy —  
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy.

Ku szaląsom zeszedł Waligóra,  
Nito potok, nito mgława chmura.

Na lipcowej przystanął zieleni,  
W rannej zorzy oko mu się mieni.

W rannej zorzy, co wyląca jedle  
I w jeziornem topi się zwierciedle.

W rannej zorzy, co żegna niebiosy,  
Aby umrzeć w drobnych kroplach rosy.

W rannej zorzy, co przed słońcem gaśnie,  
Rzucającem krwawe, fałne jaśnie;

Rzucającem światła białe rzeki,  
Gdzie pod turnią ciemne rosną smreki;

Rzucającem rozprysk skier różowy,  
Gdzie w smreczynach rosną złotogłowy.

Jasno, krasno na kwietnej polanie,  
Waligóra nad jeziorem stanie.

Twarde ręce zanurzy we wodę  
I obmyje w głębiach liczko młode.

Toporzysko zatknie w świeżej ziemi,  
W krąg oczyma wodzi błękitnemi.

Czujnie w przestwór rozległy się wsłucha,  
Z ramion biała opada mu cuha.

Dzwonią dzwonki, hale gwaru pełne,  
Mkną perciami owce srebrnowelne.

A od strugi po rośnej dolinie,  
Od szalasów w słońce piosnka płynie:

Skalną nutą wonny przestwór porze  
O szabelce, zaciętej w jaworze.

Hej, Janiczku! walileś-ci skały,  
Gdzie twe silne ręce się podziały?!

Hej, Janiczku! szalałeś-ci z nami,  
Krew ci z rany cieknie potoczka!

Zczerwienieś do dna górskie rzeki,  
Ze krwi twojej ciemne rosną smreki!

Hej, ty krwawy losie Janiczkowy —  
Z krwi rycernej rosną złotogłowy...

Ku szalasom podszedł Waligóra,  
Twarz mu płonie, jak zorzna purpura.

K'tobie dziewczko, serce mi się spieszy,  
Orzeł z głaźnej wyleciał pieleszy...

Wielka tęskność idzie skroś mej duszy —  
Niedźwiedź ryczy w niedostępnej głuszy.

Z obcych dziedzin niosę ci korale —  
Szedł Janiczek hyrny w wielkiej chwale.

Mam ci złoto, zagrzebione w knieje —  
Hej! Janiczku! co się z tobą dzieje?!...

Otwórz okno, pokaż krasne usta —  
Twarz Janiczka zbielała jak chusta...

Otwórz wrota, pokaż jasne oczy —  
W krwi Janiczek, jak w strumieniu, broczy.

Nie zapomnę takich ust na wieki —  
Pod turniami ciemne rosną smreki.

Nie zapomnę źrenicy stalowej —  
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy.

Nie zapomnę śmiechu, co mnie rani —  
Szumi jawor na wysokiej grani.

Hej! wy oczy, świecące nad zorze! —  
Szablę zaciął Janiczek w jaworze.

Hej, wy usta, wy zradne szyderce —  
Powal grań tę, a oddam ci serce!

Powal grań tę, roztrzaskaj na piargi,  
Posmakujesz smaku mojej wargi.

Gdy się w przepaść złom za złomem stoczy,  
Jak w jezioro spojrzysz w moje oczy.

Ni za koral, ni za garniec złota,  
Do komory otworzę ci wrota;

Za tych turnic głośny zwał daleki —  
Pod turniami ciemne rosną smreki.

Za tych smreków szum i trzask echowy —  
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy...

Wraca w turnie walny Waligóra,  
Z orlich skrzydeł wyskubuje pióra.

Z gniewnych oczu skry żelazne ciska,  
Gniewnie szarpie niedźwiedzie kudłiska.

Przez strumienie skacze rozpienione,  
Setne kłody odrzuca na stronę.

Idzie, sunie od wczesnego rana,  
Popod wierchem wyprężył kolana.

Sparł się w kłębach, pięście wgrzebał w boki,  
Wrył się w ziemię, zmierzył szczyt wysoki.

Hej, wy zęby, wy turniczki marne,  
Jeszcze ja was łokciami ogarnę!

Hej! ty dziewczko, juhaśna tęsknico,  
Jeszcze spojrzę w twoje szydne lico!

Rozkrzyżował ręce na dwie mile,  
Do wierszyczku zmógł się drugie tyle.

Zgiął się w kablak, wichru wchłonał parę,  
Aż mu lasy oddechnęły stare.

Z czoła strząsnął lipca płomień lity,  
Zwarł oburącz przystopne granity.

Pot się leje od słonecznej spieki —  
Na przystopach głuche rosną smreki.

Dech zapiera ogrom granitowy —  
W głuchych smrekach rosną złotogłowy.

Zatrzeszczały granne fundamenty,  
Stał się rumor w okrąg niepojęty!

Z hukiem w gruz się rozsypały turnie —  
Waligóra patrzy górnice, chmurnie.

Mgły kotłują, z głębnej lecą kaźni,  
Ryczą, jęczą upiorowie głaźni.

Czerwonemi sięją lęk oczyma,  
Chmura-potwór przeży się i wzdyma.

Ponad światem gęsta noc się wlecze,  
Tną ją w strzepy błyskawiczne miecze.

Cios za ciosem w graniach się odbija,  
Płacze w Raju Przechysta Lilija.

Pomrok zaległ niebieską posowę,  
W mroku rośnie widmo Chrystusowe.

Jak dwa ciemne, falujące morza,  
Tak mu splywa włosów fala boża.

Jak dwa wielkie, zczzerwieniałe stawy,  
Dwie źrenice leją odbłask krwawy.

A na skroni takich kolców jeże,  
Jako świerków pięćsetletnie wieże.

W licach smutku nieustanne wieki —  
O samotne, głuche, ciemne smreki!

Miłosierdzia polysk całunowy —  
O wy w smrekach jasne złotogłowy.

Ku szalasom idzie Waligóra,  
Nito pobrzask, nito serbrna chmura.

Idzie cały w światłościach miesiąca,  
Z kosodrzewia krople deszczu strąca.

Usty chwyta wychłodłe powietrze,  
Serce jego smętniejsze i bledsze.

Pełną piersią głęboko oddycha,  
Przed nim płynie tęsknica przecicha.

Na upłazy płynie, na manowce,  
Gdzie spoczęły w strągach białe owce.

Ku przymglonej, sennej płynie hali,  
Gdzie w szalasio światelko się pali.

Puść, dziewczyno! tam gdzie turnie żyły,  
Dziś jeziora szklą słoneczne bryły.

Gdzie jeziorne świeciły się oczy,  
Tam po piargach jaszczurka się toczy.

W gruzach runął boży tum wspaniały,  
W cztery strony rozprysły się skały.

Jedna matkę ugodziła w łono,  
Mąż od drugiej legnął z jękiem: „Żono!”

Padł od trzeciej ojciec, troską zżarty,  
A kochanka zginęła od czwartej.

Nad jeziorem boża-męka stoi,  
Podarunek miłośnicy mojej.

Puść, dziewczyno, daj na żalność leki,  
Na okrajach ciemne rosna smreki.

Masz dla serca ratunek gotowy —  
W ciemnych smrekach rosna złotogłowy...

Biedne złotogłowy!

Dwie Janiczek wypróbował prace:  
Podważ staw ten, rada ci zapłacę!

Hej! ty szablo, Janiczkowa broni,  
Niewart serca, kto cię nie miał w dłoni!

Nie na górze-ś, ani też w jaworze:  
Gdzieś jeziorne ukrywa cię łoże.

Siklawice wyżeń i potoki,  
Przyjdą roki! czarodziejskie roki!

Hen, w doliny wyżeń wszystkie rzeki —  
Na urwiskach ciemne rosna smreki...

Ciemne, szumne, smreki!

Wydmyj morze do niebios posowy —  
W ciemnych smrekach rosna złotogłowy...

Nad jeziorem stanął Waligóra,  
Patrzy w wodę, a woda ponura.

Chmurne szczyty w lej się zwarły na dnie,  
Cisza w koło, ani gład nie padnie.

Ani śniegu płat się nie odłamie,  
By się stopić w tej przepastnej plamie.

Śmierć to gładne zajęła grodziszcze,  
Czasem tylko świstak gdzieś zaświszcze.

Czasem tylko orzeł zatrzepoce,  
Ciężkich skrzydeł rozpinając moce.

Czemu, halo, stężałaś, spokojna,  
Gdy w mem sercu wre krwawiąca wojna?

Czemu, góry, nie padacie w złomy,  
Gdy w mej duszy piarg i gruz widomy?!

Czemu, śniegi, w miał się nie topicie,  
Gdy topnieje płone moje życie?!

Czemu chłód tu, gdy ja mrę od speiki?  
Pod turniami ciemne rosna smreki...

Czemu szal tu nie hula gromowy?  
W ciemnych smrekach rosna złotogłowy...

Przewaliłem wirszyk, tak przewale  
I te ciche, uragliwe fale!

Wywróciłem granie od korzeni,  
I głąb wasza do głębi się spieni!

Jedną nogę zarył w zmarzle śniegi,  
Drugą w piargi i okroczył brzegi.

Wiśny grzbiecik przełamał nad tonie,  
W głąb zanurzył dwie olbrzymie dłonie.

W garście zebrał ciężar srebrnosiny  
I przez wirchy wyrzucił w doliny.

Z rąk otrząsnął rozszumiale piany,  
Ku potokom stoczył na polany;

Ku siklawom stoczył na urwiska,  
Białą szumów na świat w okrąg ciska.

Wre i huczy i złowrogo śpiewa  
Rozpętana grzesznych dni ulewa.

Szatan wyszedł na rybne wyłowy —  
Ciemne smreki! jasne złotogłowy!

Niezmierzoną mgłą i niezgłębioną  
W wielkiem morzu szumne biele toną.

Każda fala, każda bryła wodna,  
Z dzikim grzmotem wwierca się aż do dna.

Jak olbrzymi, okiem nieobjęty  
Zwał ołowiu, topią się odmęty.

A za każdym zwałem rosna kręgi  
Wskróś ryczącej, wrzącej wód potęgi.

Z każdym kręgiem, szalejąc radośnie,  
Szalejące wrzące morze rośnie.

Do podniebnej wyrasta posowy —  
Ciemne smreki, jasne złotogłowy...

A nad gęstą, bezbrzezną topielą  
Białe żagle ciężkie płótna ściela.

Łódź ogromna leniwie się wlecze,  
Ogromniejsza nad zdumienie człecze.

Nito radło, głębię w skiby orze,  
Ogromniejsza nad zdumienie boże.

Snać przebije horyzontu krańce,  
Przed nią wirów złowróżebne tańce.

Za nią smuga czarniawego mątu  
Ciężko splywa w przepaść horyzontu.

Po czarniawie, co nad dziw urosła,  
Stumilowe uderzają wiosła.

Tum szatańskich żegluję wioślarzy,  
Sam Lucyfer u steru na straży.

Coraz wyżej niebo się zamyka,  
Z wiosel ścieka piekielna muzyka.

W każdym plusku rozsmaganej fali  
Stu fal odgłos skarży się i żali.

A skroś wnętrza przeolbrzymiej łodzi,  
Skamieniałe milczenie zawodzi.

Mgławie widma w straszny kłęb się zwarły,  
Na ich ustach jęk dawno umarły.

Rozpacz łokieć w krzyż kamienny zwija,  
Płacze w raju Przczysta Lilija.

W dalach zginą skamieniałe oczy —  
Skroń Chrystusa krwawym potem broczy.

Niezliczone, długie broczy wieki —  
Pod turniami ciemne rosną smreki.

O ty święty pocie Chrystusowy!  
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy.

Ku szalasom Waligóra wrócił,  
Nie wiadomo, jakie wirchy rzucił.

Nie wiadomo, jaka moc go wlekła,  
Czy od nieba przyszedł tu, czy piekła.

Gore serce na świętym obrazie,  
A zaś twoje jak kowane w głazie!

Gore serce, mieczami przekłute,  
A zaś twoje jako śnieżek lute.

Gore serce, cierniem opasane —  
Hej, dziewczyno, ukój gorzką ranę!

Toporczykiem zapuka do dźwierzcy,  
A dziewczyna na ławeczce leży.

W białe jagnię zatapia się ręką,  
Gładzi wełnę srebrnowłókną, mięką.

Gładzi wełnę, ku Janiczku śpiewa —  
Hej, gdzie twoja szabla się podziewa?

Nie na szczycie, nie w jeziorze na dnie —  
W tajnym borze, wyszukać nie snadnie!

Pod wykrotem, w niedojrzałym lesie —  
Gdzież ten wicher, co mi bory zniesie?!

Hyrny Janik trzy wydzierzył prace —  
Za tę trzecią rada ci zapłacę!

Zadmij, wicherze, od strony dalekiej —  
Pod turniami ciemne rosną smreki.

Ku szablince admij Janickowej —  
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy!...

Waligóra krwawą duszą płonie  
Ku wichurze, ku dalekiej stronie.

O poranku w gęste zaszedł knieje,  
Z środka puszczy chłodny wietrzyk wieje.

Rozkazujęć — mówi w swojej mocy: —  
Wlecz się za mną, powiewie sierocy!

Wiew samotny, posłuszny tej wieści,  
Cicho w trawach deptanych szeleści.

Na paproci czasami wypocznie,  
Co wyzląca te lesiste mrocznie!

Kępę jagód w uścisk swój uwięzi,  
Lub świerkowej chwyci się gałęzi.

Ku wierchołkom czasami wyrośnie  
I zaszumi rozciągle, żalośnie.

Wiew samotny kornym idzie krokiem —  
Nad żlebiskiem stanęli głębokiem.

Nachylił się junak krwawoduchy —  
Z wnętrza żlebu groźne dmą podmuchy.

Po wilgotnej czepiają się skale,  
Kwiat zwarzony senne szepce żale.

Hej, podmuchu, zbratany ze śmiercią,  
Pójdiesz ze mną tą kamienną percią!

Idą razem w skaliste zakręty,  
Mroźny podmuch, jakby w niebowzięty:

Skacze, tańczy, pierś do skał przytula,  
Z gniazd wyrzuca plód halnego króla.

Ze swawoli gdzieś się w załom wtłoczy,  
Zmięknie chwilę, w przestwór wlepi oczy.

Potem czarne spostrzegłszy urwisko,  
Wraz się k'niemu skrada blisko, nisko.

Rysim skokiem na karku mu siędzie,  
Na przepastne strąci je krawędzie.



Wielką krawędź razem w grażnię spycha  
I oddechem stłumionym oddycha.

Potem, dziko rozśmiawszy się wkoło,  
Pod wierchowe przewala się czoło.

Śmiga k'wyży, jak mgławiczna chmura,  
Gdzie wsłuchany stoi Waligóra.

O południu przystanął na szczycie —  
Słońce więzgnie w niebieskim błękiecie.

Żlebny podmuch przykucnął do ściany —  
W okrąg przestwór, ciepłem sfalowany.

Faluj-że mi w słonecznej posusze,  
Aż się cały falą twą ogłuszę!

Faluj-że mi, aż oślepnę cały  
W płomienistych wirach twej nawały!

Rozpełzły się słoneczne promienie  
W ciepłe, groźne, wirujące technienie.

Zwichrzyły się w jedną biel złotawą,  
W szczyty falną uderzają ławą.

Straszna moc je ponad okrąg ściele:  
Padły wichry w przepastne topiele.

Straszna moc je w żlebne granie wgniata:  
Wyszły wichry ponad okrąg świata.

Świst nad ludzkie rozpasał się ucho —  
Świszcze burza rozgłośnię, a głucho.

Czemś ty, wicherze szczytowy, mej duszy?  
Niech z twych tajni orkan gwiazd się ruszy!

Przedwieczystą ruszył orkan tuczą  
Stąd, gdzie gwiazdy w swych obrotach luczą.

Czem-ś ty dla mnie, ty gwiazdny orkanie?  
Niech przedemną Wielki-Wicher stanie!

Niech przedemną stanie oddech boży,  
Co tam — widzę — nowe światy tworzy!

Niech przedemną Wielki-Żar zaświszcze,  
Co tam — widzę — światy zmienia w zgliszcze

Z Wielkim-Żarem z nadgwiezdno szczytu  
Spłynął k'niemu Wielki-Wicher Bytu.

Waligóra szumi wichrem Boga,  
Przed nim, za nim szumią lęk i trwoga.

Przed nim, za nim głuchą, ślepą rzeszą  
Nawałnice i wichury spieszą:

Te, co na świat sypią ogień wraży,  
I szepczące po trawach cmentarzy.

Lecą z świstem ku środkowi ziemi,  
Wszystko stopy niszczą żelaznemi.

Ciężkie burze, jak żelazne brony,  
Poorwały ludzkich żądz zagony.

Piór żelaznych rzędy mają w skrzydle,  
W bór tajemny zapuściły rydle.

Jak łań zboża zmiotły go z powierzchni —  
Płacz drzew mrących gdzieś na wieki pierzchnie.

Smug poryty ciemną parą dymi,  
Wsiąkającą w wichru dym olbrzymi.

Z środka ziemi nad zsieczonym łańcem,  
Wichry jednym strzeliły tumanem.

Usta Jęku, oczy Przerazenia  
Pod niebieskie wirują sklepienia.

Jeden rozwir, jedna wrząca chmura,  
A w rozwirze chmurny Waligóra.

Oszalały, k'niebu się dobija,  
Płacze w Raju Przeczysta Lilija.

Wicher boży topi go w swej toni —  
Krwawe krople skroń Chrystusa roni...

Słońce świeci w zielonej dolinie,  
Od szalasów pieśń żałobna płynie.

O Janiczku, co zginął na wieki —  
Pod turniami ciemne rosną smreki —

O zakłętej szabli Janickowej —  
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy.

## XXI. SAWITRI.

MOTYW INDYJSKI.

Król Madras, Aśwapati,  
nie miał-ci synów, ni córek,  
więc co poranku klękał przed Sawitri,  
w południe także i wieczór,  
i błagał wszechmożne bóstwo,  
iżby nie dało mu skonać  
bezdzielnie.

Długi tak klękał czas.

Lecz pewnej chwili wiosennej  
pani z oczami głębin,  
w których goreje niezglębiona łaska  
wieczności,  
w ogniach stanęła ofiarnych  
siewego starca  
i, rękę na siwą położywszy skroń,  
rzekła mu: „Idź!  
Spełniona będzie twa prośba“.

I Aśwapati, król bajecznej ziemi  
(o której ponoć nie słyszała żadna  
z czcigodnych naszych białogłów),  
poszedł po czarę zlocistą,  
słodkiej się napił somy  
i, uradowan świętem zwiastowaniem,  
jął śpiewać sloki dziękczynne  
w cześć życiotwórczej mocy,  
która wraz z życiem przynosi nam szczęście —  
w cześć niebolicej Sawitri...

Tak mówi dawna legenda,  
na zeszcłej korze asoki  
spisana ongi przez mędra,  
co, pragnąc duszę swą wydoskonalić,  
izby w ofiarny zmieniała się ogień, —  
grzeszny, śmiertelny swój zewłok  
grzebie co kilka miesięcy  
w grób.  
Dzisiaj wam, łowcy mgieł,  
powtarza ją wasz druh,  
który z burzliwych odmętów mórz  
jedną ocalił chęć:  
by na samotnej przyzbie swojej cichej  
chaty rybackiej  
mógł — tak, jak dzisiaj — wsłuchiwać się w szelest  
zwarzonych, szerniałych liści  
dzikiego chmielu.

Lepki,  
miodem zaprawny,  
barwą bursztynu lśniący kłan

nie mieszka na uściech bóstw.  
W błękitno-purpurowym kielichu lotosu,  
w łodzi,  
w której sam stwórca ziemi i bezkreśnych  
tęsknot podniebnych  
przeniósł swój byt ziarnosypny  
ponad przepaścią śmierci,  
płynęła po falach mórz  
zadowolona Sawitri  
Złoty boskiego kwiecica pył  
po złotej rozsiewał się toni.  
W lasach nadbrzeżnych drzał liść vanaspati,  
z której w godzinach radości,  
nabrzmiałej żądzą upojenia ludzi  
szczęściem zamknięcia oczu  
przed otchłaniami,  
warzą bogowie nieśmiertelną somę.  
Z odległych pustyń dolatywał ryk  
panter i lwów,  
w skłonu przejrzystą przędzę  
kryło się śnieżne widmo Himawanu,  
a w Madras, w bajecznem mieście,  
spełniał się cud:  
W rajskim ogrodzie króla  
rodził się kwiat lotosu,  
na który z wiarą mew,  
krążących nad oceanem,  
i z utęsknieniem przepiórek,  
gdy się zrywają do cieplic,  
czekali siwego władcy  
poddani  
dziewięć tysięcy lat.

Takie jest słowo tej dawnej legendy,  
którą na białym złomie alabastru  
z murów świątyni, zburzonej  
przez złe, zawistne duchy,  
wrył był rylcem brązowym  
riszi — pustelnik, — mówiący:  
„Za chwilę zagaśnie dzień“!...  
A ja, co chodzę o zmierzchu  
po martwym wyschniętem polu  
i, snując tę dziwną dumę o Sawitri,  
patrzę, jak giną w mgłach  
widne niedawno szczyty,  
myślę, iż zapomnienie  
to Orionu błysk,  
który rozświetlił nam drogę  
nocy wczorajszej  
i który pozwoli nam przejść  
przez mroczne, ślepe, niewiadome gęstwiny  
nocy, leżącej przed nami.

Tak było:

król Aśwapati, wdzięczny, iż przez serce  
przeszły mu radła, kierowane ręką  
świętej Dobroci,  
że w miejscu perzów i ostów i wszelkich  
chwastów żaloby i chyłkiem, nieśmiało  
walczącej z sobą niechęci ku losom,  
wrosły nagle bujne, ciężkie zboża —  
że niezliczone korce ziarn rozkaże  
mleć po swych młynach na chleb dla człowieka  
i że mu starczy bogatego ziarna,  
aby garściami sypać je gołębiom

i w żłoby koni —  
że jego własna dobroć, urodzona  
z niespodziewanej uciechy,  
jeńce z więziennych wypuściwszy lochów  
i barwne flagi zatknawszy na statkach,  
przestała kary znać, natomiast wśędzie  
poczęła głosić potrzebę nagrody —  
że ku dalekim, krągłym nieboskłonom,  
otulającym ziemię, wyciągnawszy  
szczodre ramiona, wiedziała o każdym  
gnieździe, uwitem w niedostępnych gąszczach,  
na drzew wierzchołkach i w jamach torfowisk,  
o zwierzu w cichem legowisku,  
o każdym płaczu w kolebce,  
o każdym śmierci ostatniem westchnieniu —  
i że przez bezmiar swój i przez swą bezdeń  
będzie przykładem dla przyszłych pokoleń —:  
król Aśwapati nazwał córkę swą,  
przy dźwięku skrzypiec i fletni i surm,  
mianem bogini Sawitri.

W lotosie,

w kwiecie, co w wnętrza swojego purpurze  
zamyka wonną tajemnicę blasku  
niewinnych oczu dziecięcych  
i, zwolna, nieznacznie,  
od gajów i ogrodów,  
od gladioli i brzozy i wiśni  
zalatujących uświadomień wzrostu  
sennych, dziewczyczych dojrzewania,  
płynęła po głębiach fal  
Sawitri.

W rośne, jutrzniane poranki,

kiedy ostatni, ledwie dosłyszalny,  
świtowy podmuch nocy  
z złotopromienną przemagał się ciszą,  
stawała w środku przejrzystej,  
złotawej powierzchni wód  
i, chwając się rytmicznie nad zwierciadłem stropu,  
nie mogła stłumić szeptliwego: A!  
Jej usta, zróżowione wilgotnym oddechem  
twórczej zadumy nad źródłem błękitów  
i nad ich ujściem,  
rozwierał podziw dla cudu,  
którego sama była najwspanialszą,  
najcudowniejszą inkarnacją.  
Sawitri, głębia i przejrzystość wód  
i pochylone nad niemi gałęzie  
świętego drzewa wilwy  
i szmaragdowożłote oka  
niebieskopierśnych pawi,  
płynęła w łodzi lotosu  
w żarne, słoneczne pragnienia.  
W tym dziwnym płynęła kwiecie,  
który w południe  
zwija swój liść purpurowy,  
albowiem wstydzi się powierzyć niebu  
swych ogni wewnętrznych,  
otulających dar nieba,  
świętą i wielką tajemę  
płodności...  
Pani żywota,  
w ofiarnym żądzy mieszkająca ogniu,  
kieruje łódź swą ku brzegom  
i na spalony zestąpiwszy ład,

wzywa, by zjawił się ten,  
którego lica jej białość  
skraślił czerwienią swych tchów.  
Przyzywa głosem milczącym, zamkniętym  
w znieruchomionym ócz lazurze,  
a tak donośnym,  
że wnika w ostępy puszczy.  
I wówczas dzikie zrywają się słonie  
i pędzą drogą walących się kłód,  
strzaskanych dębów i jodeł,  
glazów, rozdartych na piarg,  
i w dźdże przesianych potoków,  
które przed chwilą, nim z brzegów spadzistych  
runął w ich wiry rozszalały huf,  
były jak złoto, lazur i seledyn.  
A kiedy poszedł głos ten na doliny,  
falami kładło się po krańcach ziemi  
wrzące powietrze, rozplonęły zboża,  
kret wypełzywał z swoich komnat ciemnych —  
w oslepłych oczach  
tęsknotę uczuł do słońca;  
dziewanna, jaskier i rozchodnik  
do miedz przylgnęły, trawiąc się w płomiennym  
własnego wnętrza poszepcie.  
A rozigrane źrenice pastuszków  
ścięły się nagle w nieruchome szkliwo  
nieznanych dotąd zadziwień  
i głos, milczący a donośny,  
stały ku strzechom, gdzie okna i drzwi  
mały dziewczęta młode  
na przyjście oblubieńca,  
którego Agni prowadził i Manmat.

Ale do zamku króla Aśwapati  
nikt nie przychodził w dziewosłęby.  
Wyhodowana ponad brzegiem wód,  
po których w kwiecie lotosu  
płynęła święta Sawitri  
w żarne południe pragnień,  
jedyna córka władcy Madras,  
nosząca miano bogini —  
Sawitri —  
niebiańskiej była urody.  
Kiedy, w jutrznianej kąpiąc się głębinie,  
stała chwilę drobnymi stopami  
na złotym piasku dna  
i przeczekawszy, aż się uspokoją  
pierścienie i kręgi —  
ruch fal, wywołan dotknięciem jej ramion —  
spojrzała w gładkie, błękitne zwierciadło,  
nie mogła stłumić okrzyku  
z podziwu dla własnych ócz.  
W noce miesięczne,  
wyszędłszy z lutnią w rękę  
na okraj niesklóconej poszumami ciszy  
rozkosznych ogrodów Indry,  
patrzy, jak lotos  
rozchyła swój kwiat purpurowy  
z taką potęgą,  
o jakiej nie śniły poranki  
ani południa,  
choć ich omze słoneczne  
pijane są tęsknotą...  
Żrenicą,  
nie daną innym ludziom

w bajecznej ziemi Madras,  
w krainie somy,  
widziała wówczas ze drżeniem,  
jak jej patronka,  
wsiadłszy w błękitno-purpurową łódź  
rozwinętego lotosu,  
płynęła tonią ściemniałą  
w bezkresny, zdało się, mrok.  
I wtedy  
do uszu córki króla Aśwapati  
palcem pukało liljowym  
powiewoskrzydłne echo  
śpiewu bogini:  
„Płynę w pałace Śmierci,  
na bezgranicznym zbudowane morzu,  
lecz przejdę bezkarnie pod sklepiskiem  
malachitowych mauzoleów,  
ominę łuki jej kaplic,  
wsparte na słupach z labradoru,  
i znów w bezmiernej przegładną się fali,  
albowiem jestem Sawitri,  
albowiem jestem Miłość...”

Wracała w dom swój zadumana  
jedyna córka króla Aśwapati.  
Zaszli jej drogę młodzieńcy,  
którzy, zwabieni jej urokiem,  
ciche, miesięczne czaili się noce  
pod Indry rozkoszne ogrody,  
i tak jej rzekli: „Sawitri!  
Niema większego szczęścia,  
jak osiąść ciebie na życie...”

Ale w twych oczach, będących  
oczami nie z tego świata,  
zabójczy pali się ogień —  
my w duszy mamy lęk Śmierci...“  
I na to, przy nieśmiałym,  
a przenikliwym dźwięku strun,  
odpowie synom książąt i radzów,  
słyszająca przyływ i odpływ wieczności,  
rozmiłowana w lotosie

Sawitri:

„Nie śmierć ja gotuję,  
lecz wyzwolenie od śmierci, gdyż kresem  
wszystkich walk naszych i tęsknot i żądź  
jest nieznająca kresu nieśmiertelność...“

Ta-ci prastara jest pieśń  
o liściach dzikiego chmielu,  
opłatających przyzbę mojej chaty;  
o żółkłem dzisiaj, w tę porę jesienną,  
ustronnem gronie modrzewiów;  
o piasku, co się unosi z pod kół  
ciężkiego wozu;  
o zgasłych płomieniach gwiazd;  
o głuchem echu siekiery,  
twarde rąbiącej pnie;  
o tych wesolych dziewczętach,  
czerpiących wodę ze źródła...  
Na zblakłych, jedwabnych strzepach  
ofiarniczego ornatu,  
wyjętych z grobu prawodawcy Manu,  
spisał ją przed wiekami  
Punyasloka,

mędrzec-królewicz,  
który w odludnej pustyni  
patrzył na wschody zórcz.  
A ja, com słaby jest cień  
wielkiego Cienia —  
cień,  
którego nawet zachód przedłużyć nie zdołał — —  
Tak, ja, com dziś o zmierzchu,  
przypominając wam  
tę dziwną dumę o Sawitri —  
widział na zeschłych, przylesnych murawach  
ognie pastuszków  
i kilka przy polnej drodze  
zgruba ciosanych brył granitu,  
z których ma powstać krzyż,  
pragnę jedynie tego,  
izby me stopy śmiertelne  
nie zostawiły śladu  
na tych samotnych ścieżkach —,  
izby mój wieczór był, jak potok górski,  
kamienie wałący w przepaść...  
Niechaj je wali z hukiem,  
gdyż jestem duch, który cierpiał,  
albo niech raczej, łamiąc swoje prawa,  
każe im zsunąć się w ciszy...

A może jestem oblakany!?!...

Król Aśwapati, pan gasnących światów,  
które mu zwolna zamierały w duszy,  
pozostawiając żuźle dawnych uciech,  
wielce był zmartwion, że córka

nie ma na czyje ramiona  
ślubnego zawiesić wieńca...  
„Najlepsze konie“ — mówił — „każę wybrać  
z wszystkich mych stajen  
i bogom setne spalę aswamedy,  
jeżeli ujrzę obok twego boku  
rycerza,  
któryby światłem swych cnót  
dorównał bogom jutrznianym, Aswinom.  
Sawitri, córko moja“ —  
tak gędził do niej starzec siwowłósy —  
„przy tobie zorza błednie,  
tracą swój żar niebiosy!  
Bogini, patronka twa,  
w wieczne płynąca dale,  
swą kwietnią łódź wstrzymuje,  
cisza oprzędza fale  
z podziwu.  
Oczy śmiertelnych ślepną,  
czar twój odstrasza ludzi —  
Sawitri, córko moja,  
me serce w łzach się trudzi  
nieopisanych.  
Złocisty wóz gotowy,  
złocista jest uprzęża:  
siądź, przejeżdż kraj mój cały,  
godnego wybież męża,  
coby na barki wziął swe troskę  
o szczęście wyznawców Bramy.  
Niechaj mych pleców starych  
nie gniecie wstydu brzemię,  
że zginąć ma bezpotomnie

królewskie moje plemię,  
na którym niema skaz...“  
Sawitri jasnoczoła  
ojcu do kolan pada:  
„Nie chcę, by dusza twoja  
była ze smutku błada“ —  
te powiedziała mu słowa.  
„We wóz złocisty siędę,  
przejadę kraj twój cały,  
pożądaję wybrać męża,  
pełnego cnót i chwały,  
iżby ją głosił ghandarwa,  
wybrany śpiewak bóstw,  
i wszelki inny, choć najlichszy człek,  
w mgławce, jesienne wieczory  
po ścieżkach błędzący samotnych,  
nadsłuchujący, czy z walk,  
które się toczą gdzieś  
za granicami jego myśli chorej,  
nie zmartwychwstanie radośniejszy wiek...“

Jedzie królewski rydwan  
przez góry i doliny,  
to w słońcu promienieje,  
to w mgle się chowa sinej —  
toczy się tak stulecia.  
Przed każdym zamkiem staje,  
w puszczy przed każdą celą,  
ludzie się nim radują,  
kwiaty się nim weselą,  
a na bezmiernych głębiach świętej rzeki,  
w kwiecie lotosu



plynie bogini Sawitri.  
Poprzez pałace Śmierci  
pod sklepiskami  
malachitowych mauzoleów,  
mijając słupy z labradoru,  
w wieczności plynie dal...  
Zaś córka króla Madras,  
z dalekiej wróciwszy podróży,  
skłoni się przed rodzicem  
i powie:  
„Wybrałam męża...  
Będzie nim Satyawan,  
syn króla Dyumatsena,  
który, oślepszony, przez zdradzieckich wrogów  
utracił schedę swą  
i odtąd w puszczy żyje korzonkami,  
a w mego oblubieńca  
wpaja z czułością pelikana  
umiłowanie prawdy.  
Niezlomna jest ma wola,  
choć swe barki  
walkałą odziewa pustelną,  
choć bosc nogi rani o kamienie  
i łatwo żmija ukąsić go może —  
choć jest poświęcon Śmierci:  
umrze, nim przejdzie rok...“

Posmutniał wielce starzec siwowłosa —  
szerokopienny dąb  
nad leśną zadumał się płonką,  
zapłakał i rzekł:

„Ha!... błogosławię twe losy!  
Idź, wierną mu bądź małżonką“.

Pielgrzymie,  
co, oderwawszy się od tłumu wiernych,  
na oślepnym mrocznym przebijasz się lasem  
ku świętym, podziemnym przybytkom w Ellorze  
— głuche cię o nich doszły wieści —  
i nie wiesz, jak i kiedy dotrzesz do granicy  
oblędnych kroków swych:  
Oby twym drogom błogosławił  
ktoś, kto cię kochał kiedykolwiek,  
a dziś pochowany jest w grobie.

Sawitri poszła w pustynię  
do męża Satyawana.

Czarne jagody,  
zbierane w cieniu osiwiiałych świerków,  
na gęstych, granitem podścielonych kępach,  
oblegających marzenne jeziora,  
były jej karmią biesiadną.  
Lecz przyszła chwila,  
że i ten skromny owoc leśny  
wydał się wargom jej  
nazbyt zuchwałym przekroczeniem postu.  
Wszelkie najsroźsze wypełnia pokuty,  
ażebym dla skazańca  
wybrać odwołkę skonu...  
Ciało biczuje pretami  
wilgotnych łozin;  
wychudłym palcem rozwiera powieki

i z kątów ich wygania leniwy, natrętny,  
a dobroczynny zapach snu...  
Gdy gardło wyszło z pragnienia,  
tak, że się krok jej chwia! za każdym  
choćby najmniejszym kamyczkiem,  
pod każdą zwiędłą łodygą  
goryczkowego ziela  
czy zlotogłowiu,  
nad źrójów kryniczną stawała orzeźwą.  
I osłabioną nie mogąc już wolać  
zapobiec zwycięstwu  
pożądliwości,  
dłoń zanurzywszy w wodzie,  
kilku kroplami  
wyswabadzała uwięziony język,  
iżby choć szeptem zawołał: „Bogowie,  
okażcie litość nad Satyawem!”  
Lubiła ongi chodzić na przełęcze  
murawą pokrytych gór  
i granatowe pięści gencjany,  
a teraz, patrząc, jak, nieświadom końca,  
zbliża się k'niemu syn ślepeca,  
wzrok swój od cudnych odwraca już kwiatów.  
Nie chce obudzać podejrzenia w duszach  
żywotowładnych bóstw,  
iż w trosce swej  
szuka pociechy w odbiciu bajecznych,  
poszukiwaczom rajskich fatamorgan  
rzadko widzialnych nieb...  
Nieraz, siadując o zmierzchu  
pod koronami drzew,  
zlewała całą swą istotę

z ich szumem,  
czując w nim dawnych czasów przypomnienie,  
gdy sama była jednym z nieuchwytnych,  
nieodgadnionych współdzwięków Prabytu.  
Teraz, gdy oddech zachodniego morza  
począł poruszać liściwiem,  
uszy drżącemi zatykała dłońmi,  
mówiąc: „nie wolno pogrążyć mi serca  
w tej najwybrańszej rozkoszy,  
albowiem celem mych dzisiejszych dni  
jest umartwienie, by życiem  
mógł się zbawiony rozkoszować mąż...”  
Ale inaczej było napisano  
w wyroczniach:  
Wziął Satyawan siekiereę  
i szedł w głębinę puszczy  
ciąć drzewo.  
Za nim Sawitri z smutnemi oczyma. —  
Ledwie ukroczyć wydała; przecucie  
w ciężkie łańcuchy zakulo jej nogi.  
Wlokła się za nim, serce niosąc krwawe  
w zmęczonych dłoniach, jak urnę,  
pełną obiaty Śmierci — — —

Stary, pochyły rachmistrz  
otworzył cicho drzwi mej izby,  
wślizgnął się do niej, jak wąż,  
i, za mojemi stanąwszy plecami,  
szepce mi w uszy: „chcesz wiedzieć,  
na ile godzin i minut i sekund  
liczą się jeszcze twe dni?”  
Wyciągnął czarną tablicę

i kredy kawalkiem  
począł straszliwe kreślić runy.  
„Nie!...“ wykrzyknąłem. „Nie!...“  
Liście dzikiego chmielu  
szeleszczą w progu na pętlach sosnowych,  
po szybach szmer się zsuwa tajemniczy,  
szary, ogromny pająk  
na lśnistej spuszcza się przędzy  
i kroczy wielkimi krokami  
po świstkach żółtkiego papieru.  
A tam! z tej mgławej, w pochmurnym księżycu  
tonącej dali,  
pełźnie Sawitri śpiew:  
„„Płynę w pałace Śmierci —  
w malachitowe mauzolea,  
ku słupom kaplic z labradoru,  
ku kopcom zbawców i męczenników,  
ku cmentarzyskom, po których  
zostały ścieżki dla mrówek““ — — —

Korę asoki, beztroskiego drzewa,  
jął Satyawana rąbać i tej chwili  
upadł na lono stroskanej, szepczący:  
„Wzrok mi się zamglił, osłabłem“.

I wraz przed córką króla Aśwapati  
stał młodzienc w płaszczu purpurowym  
i szzerwieniła zatopił źrenice  
w jej przerażeniu.  
„Kto ty?“ — jęknęła — „i poco w twym ręku  
ten powrót?...“  
„Imacz-ci jestem dusz“ odrzecz, —

„Yama, bóg śmierci, przychodzę  
Zabrać ci miłość a zostawić żal“.

Poczęła błagać, lecz nieubłagany  
wydobył duszę z ciała jej małżonka  
i, skrepowawszy powrozem,  
wiódł ją ze sobą w swą włość.  
Za nim Sawitri w łzach:  
„Zgaś-ci mój żywot“ — płacze — „zgaś!  
Skończyło się moje szczęście!  
O Yamo! Yamo!  
Czerwonooki panie śmierci,  
wróć-że mi skarb mój, wróć!“  
Szła tak tysiące mil,  
aż młodzienc w płaszczu purpurowym,  
ulitowawszy się jej trudu,  
zawoła: „Sawitri!  
Spal krwawe serce, które niesiesz w dłoni,  
ofiara uczyn bogom  
i żądaj łaski odemnie:  
Przez twoją wierność wszystko ci wypełnię,  
nie oddam tylko duszy Satyawana“.  
Tak ona powie: „Ojciec jego ślepy;  
któż go prowadzić będzie, gdyś mu zabrał  
syna, podporę jego lat?  
Spraw, iżby przejrzał  
i zasiadł znowu, wygnaniec,  
na swym królewskim tronie w Salwie“.  
„Stań się, jak rzekłaś“.— odpowiedział Yama  
i uszedł tysiące mil.  
Za nim Sawitri w łzach:  
„Nie strudzą się kroki me,

pójdę za mężem w twój ślad;  
szlachetny był i dobry,  
kres mój u jego kresu...“  
„Wróć się, Sawitri“ — rzekł Yama;  
„twój kres daleki-ć jest; nim dojdiesz  
do brzegów mych oceanów,  
sto gwiazd się spali w swych ogniach —  
Jak zwiędły oset lub pomięty  
stopami szarugi zimokwit,  
schnie twoje ciało od nadmiernych pokut.  
Ale mnie zmaga twa wierność  
i twoja dobroć: Mówże, czego pragniesz;  
ze środka ziemi skarby ci wykopię  
i dam, dam wszystko, prócz życia  
Satyawana“.  
„Stracona jestem dla rodzica“ —  
powie Sawitri — „niechże-ć ojcu memu,  
królowi ziemi, stu wyrośnie synów,  
aby nie zginął ród“.  
„Nie może zginąć plemię“ — odrzekł Yama,  
„jeśli z pnia jego wyrosła latorośl,  
tak umiejąca cierpieć.  
Król Aśwapati  
stu synów będzie miał“.  
I silniej jeszcze skrępował powrozem  
duszę zmarłego  
i biegł tysiące mil.

Za nim Sawitri w łzach.

Szli traktem wielkich kopców,  
sypanych ręką wdzięczności

dla zbawców i męczenników.  
Polami bitew szli, gdzie ongi  
inkrustowane złotem zbroje  
zdzierała chciwość z poległych.  
Cmentarzyskami szli, po których  
zostały ścieżki dla mrówek.  
W łupinie orzechu  
płynęli morzem, co tysiąc  
śmiałych pożarło żeglarzy,  
poszukiwaczy nowych łądów  
i przewoźników kosztownych kamieni.  
Wreszcie dotarli do bram  
snać nieprzebytej puszczy.  
„Wróć się, Sawitri“, tak ją błagał bóg,  
co za pogrzebnym idąc wozem,  
bierze pod rękę towarzyszkę, Żalność.  
„Wróć się, nie przejdzie tą gestwią  
śmiertelna stopa twa“.  
„Przeto pozostaw tu me ciało“ — powie —  
„a duszę na arkan swój weź  
i powiedź razem z duszą Satyawana,  
albo mi oddaj żywe jego serce!“  
„Niewiasto dobra i szlachetna,  
kwitnąca kwiatem poświęcenia!  
Nie mogę-ć tego uczynić,  
lecz żądam innej nagrody,  
a usta ku tobie nachylę  
i szepnę ci: masz ją!“  
Tak rzecze ten dziwny młodzieniec,  
okrajem jesiennych rozłogów  
chodzący o zachodzie  
w swym purpurowym płaszczu...

A ona: „Ostatnia ma prośba:  
Jeśli jest dobra i szlachetna,  
kwitnąca kwiatem poświęcenia,  
dlaczego zginąć ma we mnie  
to, co wyzwoli świat?  
Spraw, iżbym miała stu synów,  
ojców pokoleń stu,  
które rozrosną się w ogród  
cnót...“  
„Stu synów będziesz mieć; wyruszą w bój  
przeciwko Writrze, wrogowi  
świętego pana stu ofiar,  
Indry, co wrogiem  
występku jest i grzechu  
Chciwość, władczyni pobożowisk,  
nie zedrze z poległych  
— albowiem żyć będą wiecznie —  
inkrustowanych złotem zbroic“.  
Tak-ci jej szumi Yama  
szumem, płynącym od puszczy.  
Wraz ona mu zawtórzy:  
„Jakżeż ja mogę mieć stu synów,  
nie popełniwszy występku i grzechu?  
Uwolnij duszę Satyawana,  
bo on-ci jedyny  
posiada prawo być ojcem rycerzy...“  
Zawstydzził się Yama,  
ale i rozradował,  
iż go zmogła niewiasta.  
Uwolnił duszę Satyawana  
i wiódł ich gęstwina,

która za każdym ich krokiem  
w rozkoszny zmieniała się Raj...

W tym samym czasie  
patronka tej, co zmartwychwstanie  
dała synowi Dyumatseny,  
panującego w żywookiej chwale  
na tronie Salwy —  
Pani, w ofiarnych mieszkająca ogniach,  
którą czcił król Aśwapati,  
ojciec stu mężnych synów, —  
Sawitri —  
płynęła w kwiecie lotosu  
po niezmiernych głębinach —  
Wokrag rozlegał się jej śpiew:  
„Płynę w pałace Śmierci,  
na bezgranicznym zbudowane morzu,  
lecz przejdę bezkarnie pod sklepiskiem  
malachitowych mauzoleów,  
ominę łuki jej kaplic,  
wsparte na słupach z labradoru,  
i znów w błękitnej przegładnej się fali,  
albowiem jestem Sawitri,  
albowiem jestem Miłość...“

Ta-ci odwieczna jest pieśń  
o poczerniałych,  
przedwczesnym zwarzonych mrozem  
liściach dzikiego chmielu,  
opłatających mą przyzbę.  
Czcigodny dwidżah, Arja,  
samotny, siwy odwiecznych ogrodów stróż

(rośnie w nich święta vanaspati,  
z której bogowie warzą napój somy  
i w wielkich chwilach radości  
dają go ludziom, ażeby zaznali  
rozkoszy zamknięcia ocz  
przed otchłaniami),  
ufnym ją śpiewał głosem,  
gdy ciężką, żelazną motyką  
jął okopywać korzenie  
drżącej od zimna rośliny...  
A ja, któremu się zdawało  
(za dawnych, dawnych lat),  
że zawrę w hymnie swym tęsknotę dusz,  
jedną mam tylko żądzę:  
ażeby w drodze  
do świętych przybytków w Ellorze  
mniej było łez i krwi...

## XXII. DROGI KRZYŻOWE.

Ongi, za dawnych, bardzo dawnych lat,  
Gdy jeszcze wiara przenikała świat,  
Gdy duch, co dziwy niesłychane czyni,  
Nie służył jeszcze w Molocha świątyni,  
Zuchwalej pychy zaślepiony łup,  
Szły dzieci Pański wyswobadzać Grób.

Gdy nad polami i nad smugą łąk  
Piął się w triumfie wielki słońca krąg,  
Wpatrzono w jasność, te małe dziecięta

Śpiewały chórem: „Zawitaj nam, święta  
Jerozolimo! W twój daleki gród  
Oby nas Anioł jak najprędzej wwiódł.

Gdzieś jest nie wiemy; lecz mówił nam Bóg,  
Że trzeba przemóc tysiąc różnych dróg,  
Że przebrnąć trzeba niedostępne lasy,  
Zarośla bagien i gór ciemne pasy  
I niezmierzone głębie rzek i mórz,  
Śpiesząc w kierunku rodzących się zórz.

Tylu nas z rośnych nie powstało leż,  
Tylu wir porwał, tylu zabrał zwierz,  
Zdziesiątkowani jesteśmy w tej chwili,  
A nikt nie zgadnie, ileśmy zrobili,  
Gdy nas tak ściga dobra pani, Śmierć, —  
Drogi połowę, albo tylko ćwierć?

Jedno wiadome, że musimy iść,  
Czy kwiat zakwita, czy opada liść,  
Czy ciepło splywa z lipcowej przezroczy,  
Czy też zaspami śnieg się na nas toczy,  
Czy mamy strawy w naszych sakwach dość,  
Czy głód przychodzi, nieproszony gość.

Siostrzyczkom naszym puchnie biała twarz,  
A one nuca: Ty, Boże, nas karz  
Za przepelnioną czarę ludzkich zbrodni!  
Ledwie się wloką braciszkwowie głodni,  
A szepcą słodko: Świeży rajski chleb  
Z Jerozalemskich otrzymamy nieb.

Iżby pokusom opędzić się złym,  
Tłum nas, dzieciątek, wysłał gońce w Rzym;  
Niech nam, rzekniemy, dłoń twa błogosławi,  
Ty, Ojczyźnie! Pokorni i prawi,  
Jedną żywimy niezmożoną chęć —  
Zdobyć Chrystusa grób! Nasz zamiar święć.

Z siwego starca zwiędłych, smutnych warg  
Popłynął potok nieukojnych skarg:  
Cóż ja wam, dzieci moje, na to powiem?  
Z wątłego ciała policzcie się zdrowiem,  
A może nawet schwyci w potrzask swój  
Serca i dusze niweczający znój.

Zasię purpurat, który przy nim stał,  
Pełne są, mówi, starodawnych chwał  
Te nasze księgi święte, przecież w żadnej  
Niema, by dzieciak bojował bezradny.  
To tylko można wyczytać z ich kart,  
Że i młodzianków chytry kusi czart.

W tem wszystkim widzę heretycki błąd!  
Chceszli udziżyć niezachwiany rząd,  
Cześć swej stolicy zachować od sromu,  
Kaź im w pokorze powrócić do domu,  
A nieposłusznych — sprawiedliwa rzecz —  
Dyscyplinami rzemiennemi siecz.

To rzekł... A nam się zdaje, że jest Duch,  
Który rozbija ludzkie groźby w puch,  
A który Prawdę przejął nasze wnętrza,

Że mamy Dzieło spełnić przeniejświętsze,  
Dążyć przed siebie w tę wyśnioną wyż,  
W rękę trzymając z różg uwity krzyż.

I tak kroczymy, słabych dzieci tłum;  
Gór nam nie straszny grzbiet, ni morza szum;  
Nie wiemy dzisiaj kogo z swych czeluści  
Dzikiego zwierza pełny jar wypuści,  
Lecz to wiadome, iż komuś z nas  
Zabłyśnie jutro wschodniej zorzy czas.

I to wiadome, iż nie szczeniść stóp  
Temu, kto Pański chce zdobywać grób,  
I ścieżki swojej nie ślać temu żalem,  
Na kogo święte czeka Jeruzalem,  
I że wbrew księgom Jego kłamnych sług  
Do posłuszeństwa prawo ma li Bóg.

Siostrzyczkom naszym puchnie biała twarz,  
A one nuca: Ty, Ojczyźnie, nas karz  
Za przepelnioną czarę ludzkich zbrodni!  
Ledwie się wloką braciszki głodni,  
A szepczą słodko: Świeży, rajski chleb  
Z Jeruzalemskich otrzymamy nieb!“

Tak to za dawnych, bardzo dawnych lat,  
Gdy jeszcze wiara przenikała świat,  
Wybrańców bożych dążył hufiec młody  
W te bohaterskie, męczeńskie zawody,  
Ostępem sztyderstw i krwawiących bied  
Z oczami w górę wzniesionymi wszedł.

A ktoby dzisiaj chciał powiedzieć wam,  
Że w tym zachwycie był-li złudny kłam,  
Że poryw Ducha wieździe na bezdroże,  
Że li Rozsądek prawdą zwać się może —  
Ktoby z podstępny'm tak uśmiecchem rzekł,  
Ten-ci jest głupi i nikczemny człek.

Tchórz to i podlec, zapłacony zbir,  
Wyznawca cnoty bękarcej, kto mir  
Bożych orędzi, zlecających duszy  
Bronić krwi swojej, fałszami naruszy,  
Z zakonodawczych wysnutymi kart,  
Które napisał Uwodziciel, czart.

Gdy mi te słowa cisną się do ust,  
Niebo rozwarło swój orkanny spust;  
Głęboki przestwór, od brzega do brzega,  
Ślepa, bezgwiezdna, czarna noc zalega,  
Od strony w mroku zatopionych Tatr,  
Garściami deszczu wściekły sypie wiatr.

Zda mi się prawie, że cały ten dom  
Wnet się rozpadnie na drzazgę i złom,  
Że się na głowę moją dach powali,  
Że groźne jęki, które słyszę z dali,  
Jakichś upiorów przybierają kształt  
I straszą chrzęstem swych całunnych fałd.

O burzo! burzo! ucisz-że swój głos!  
Serce, pragnące dawno, by mu los  
Zgotować raczył choć chwilę spokoju,  
Znowu się szarpie śród twego rozstroju!

Twych bezlitośnych knechtów widząc huf,  
Swe śpiewne struny rwie na strzępy znów.

Wstaję i idę w oszalałą krucz,  
Ni człek, którego pozbawiono ócz;  
W tem rozklębieniu dżdżów i mgieł ponurem  
Ścieżyny szukam pielgrzymim kosturem,  
Przedemną Rozpacz, wlokąc się, jak pies,  
Raz po raz szczeknie: daleki nasz kres?!

Nie wiem i tego nikt nie powie nam...  
Od najwcześniejszych dni do złotych bram,  
Do jasných tumów z swoją konchą spieszę,  
A wciąż mi drogę zastępują rzesze  
Równych mnie ślepców... Ominąćby'm rad  
Ten zarój płaczu, ten żebrzący świat!

Ale nie mogę... Potykam się wciąż;  
Pocieszam siebie: Daż-że naprzód, daż!  
Może w twe krwawopuste oczodoły  
Wślizgnie się jeszcze jakiś blask wesoty,  
Może gdzie znajdziesz wrzący życiem dach,  
Nie samą tylko martwość i strach...

Macam po krajach grząskich, śliskich dróg;  
Drętwieją ściegna trzęsących się nóg,  
Gdy mnie już do cna trudy te zważyły,  
O pień się oprę, by zacerpnąć siły —  
O lęku lęków! O ty drzenie drzeń! —:  
O szubieniczny oparłem się pień...



Krew się strugami leje do mych stóp...  
Ten mówi: Nie rób tego! Tamten: rób!  
Ten błaga: Nie czas, bracie, rwać się z nożem!  
A tamten woła: W Przeznaczeniu bożem  
Jest napisano, że przyszłości wał  
Ten tylko zdobył, kto krew drogą lał!

A wśród tych z łez i krwi zrodzonych mątw  
Krzyki wzajemnych oskarżeń i klątw.  
Oszaleć można z bólu! W tej rozterce  
Niechby przestało bić już ludzkie serce,  
Niechby się w wnętrzu spopielił i zmarł  
Wybuchający ten miłości żar!

W ręku się łamie mój pielgrzymi kij —  
Pochłoń mnie, nocy! Dmij, wichuro, dmij!  
Wszystko mi jedno, czy stanę na straży  
Tego, co życiem i śmiercią się waży,  
Czy też w samotny, zachwaszczony dół  
Złoży swe kości ten, co tylko — czuł...

Nie wiem, jak długo szedłem — cóż ja wiem?  
I ty, co dobrem winem, czy też złem  
Umęczonegoś napoił wędrowca,  
Lub złą czy dobrą ścieżkę wśród manowca  
Wskazałeś krokom jego, cóż ty wiesz,  
Mój przyjacielu?... Kłamstwa się li strzeż!

Może li chwilkę szedłem, może rok,  
Może lat tysiąc — nie wielki to skok  
Dla dusz, co takie widziały męczarnie,

Że wieków przyszłych rozum nie ogarnie  
Ohydnej prawdy: skazano na skon  
Naród, bogaty w mąk ofiarnych płon...

Powoli wicher się uspokajał. Głęb  
Niebios, walących swój ciężar na zrąb,  
Na zadyszanej ziemi mglisty kraniec,  
Jęła powoli się przecierać; taniec  
Potwornych chmur-olbrzymów pierzchnął w dal,  
Nie pierzchnął tylko smutek, nie znikł żal.

Widzę, żem stanął wśród Krzyżowych Dróg —  
Znam-ci tę miedzę, znam ten pola smug;  
Tu pod cichą, białą Bożamęką  
Niegdyś chłopięcą zegnałem się ręką,  
Tutaj na słońca wschodzącego cześć  
Rozkosznie było hymn paranny wzniesić.

Tu poraz pierwszy zapatrzony w lan,  
Począłem wierzyć, że zbożom jest dan  
Ten sam, co ludziom duch i że przed wieki  
Wypłynął z Boga wraz z tą falą rzeki,  
Że tylko człowiek, zbyt pewny swych praw,  
Drzewo odgrodził od siebie i staw.

Tu — błogosławion niechaj będzie ten  
Z gwiazd palających wysnowany sen! —  
Tum śnił, iż życia tworzy fundamenty  
Li sprawiedliwość, że będzie przeklęty  
Dzień, w którym przemoc, siewca trwogi, zbój  
I zły niszczyiciel, topór schwyli swój.

Tu — szumi jeszcze tej topoli szczyt —  
Marzyłem kiedyś, słaby ludzki byt,  
Że gdzie zabrakło stalowych paweży,  
Mieczów i włóczni, tam Słowo zwycięży,  
Że, śpiewnej ziemi nieodrodny syn,  
Może w swej pieśni wielki zaklnę czyn.

A dzisiaj... Kto wy? i dokąd? i skąd?  
Bose i nędznie ubrane, w ten mąt  
Niepewnej chwili idziecie, w zawieję —:  
Ledwie ucichła, znów się rozszałeje!  
Patrzcie! Kroplami niewyschniętych ros  
Ocieka jeszcze z tej burzy mój włos...

„My ze wsi twojej“ — odpowie mi tłum  
Dzieci, płynący, jak olchowy szum  
W przestrzeń jesienną —; tamci z dalszej strony,  
Ci od jeziora, gdzie są Dziwożony,  
A tamci nawet aż od morskich wód,  
Gdzie miał się zapaść kryształowy gród.

Żaden przed tuczą nie chwyta nas lęk,  
Tylko łoziny krzak na deszczu zmiękł!  
Cóż nam, młodziankom bożym, dziś się stanie?  
Ty, któryś cierpiał rany, Chryste Panie.  
Wiedź nas, gdyś kazał temi drogi iść,  
Jak woda w rzece, jak ten z wierzy liść.

Wiemy, że wielki jest na świecie kłam  
I że ze serca pragnie wydrzeć nam  
Gorącą wiarę w święte Jeruzalem,

Gdzie trzy Marje niosły maści z żalem,  
Iż nazbyt ciężki jest grobowy glaz,  
Pod którym spoczął Ten, co zbawił nas.

A On zmartwych wstał... Chcieliśmy tę wieść  
Tak, jak umiemy, po tych polach nieść,  
Ale są ludzie bez Pańskiej bojaźni,  
Którzy nas biją, zamykają w kaźni,  
Którzy nie mogą doliczyć się różg,  
By ku swej prawdzie nakłonić nasz mózg.

Juścić nie wiemy, jaka prawda jest  
Tą albo inną; a przez krwawy chrzest  
To najprawdźwiwiej stało się wiadome,  
I że niesytą na duszę oskomę  
Mają szatani i że ten jest żyw,  
Kto stłumił w sercu swem szatański wpływ.

I tak próbują nas kusić i tak;  
Od tych udręczeń, od tych ciągłych plag  
Siostrzyczkom naszym białe puchną twarze,  
A braciszczkowie nasi tak w tej karze  
Strasznej osłabli, że pośród tych dróg  
Ledwie udźwigną ciężar wątlých nóg.

Ale się wloką... Bo cóż czynić, cóż,  
Kiedy nam w wnętrzu szepce Anioł-Stróż:  
Poganin zajął dzisiaj Chrystusowy  
Grób w Ziemi świętej; bądź każdy gotowy!  
Skarb, który ojce wypuścili z rąk,  
Wy macie odbić przez Ofiarę mak.

I tak idziemy... Chcesz-li z nami? Chodź,  
Biedny wędrowcze!... Ty zaś, tylekroć  
Smagany Jezu, sprawiedliwy Panie,  
Okaż nam wszystkim boskie zlitowanie,  
Wpuść nas w swe niebo, w swój słoneczny Raj,  
I katów naszych na swą Łaskę zdaj!"

O hańbo wieku, co przyszłości łąd  
Zalewasz morzem krwawem! Groźny sąd  
Wyda na ciebie duch, szerzący ogień  
Sprawiedliwego wymiaru! On-ó pognie —  
Z bólu ty wówczas, podeptana, warcz! —  
Twój miecz bezprawia, twojej pychy tarcz!

A wy, dziecięta chłopskie! Ja, wasz brat  
Pewnie najbliższy, pragnę, aby ślad  
Waszej Kalwarji, twardej i daleki  
Błogosławiony był po wszystkie wieki,  
By na filarach waszych męstw i chłost  
Oparł się zbawczy nad przepaścią most!

Ktoby zaś kiedy chciał powiedzieć wam,  
Że w tej ofierze był-li złudny kłam,  
Że poryw Ducha wiedzie na bezdroże,  
Że li Rozsądek prawdą zwać się może —  
Ktoby z podstępny tak uśmiechem rzekł,  
Ten-ci jest głupi i nikczemny człek.

Tchórz to i podlec, zapłacony zbir,  
Wyznawca cnoty bękarcej, kto mir  
Bożych orędzi, zlecających duszy

Bronić krwi swojej, fałszami naruszy  
Z zakonodawczych wysnutymi kart,  
Które napisał Uwodziciel, czart.

### XXIII. KORDECKI.

Prochem-li jesteś, prochem, więcej niczem,  
Kamienna urno! A jednak przed twojem,  
Żalobą wieków okrytem obliczem  
Staje ma dusza z dziwnym niepokojem,  
Albowiem czuje, że w twem tajemniczem  
Wnętrzu odnajdzie coś, co nie jest rojem  
Zmarłych-li wspomnień, ale życia treścią,  
Uwitą z wielkich tęsknic, karmionych boleścią...

Prochem-li jesteś, prochem, ty kamienna  
Urno, wyjęta z posepnych podziemi,  
Skąd Śmierć strzegąca pilnie swego lenna,  
Zaziera chyłkiem oczy wyżartemi,  
Zali nie przyjdzie nowa postać senna  
Złożyć swe członki, gdzie głusi i niemi  
Czekają rzędem, aż wargi otworzą  
I uszy na ostanią Proklamację bożą.

Prochem-li jesteś, prochem, niczem więcej!  
Z rąk cię upuścić na trumny przegniłe,  
Marne relikwie rycerznych tysięcy,  
Które się kładły bez żalu w mogiłę,  
Przedsię nadzieją i wiary dziecięcej  
Głębokim szeptem, jak winem, opile —:

Z rąk cię upuścić, a z twej kruchej gliny  
Cóż jeszcze pozostanie? Pył pod stopą siny!

A jednak nie wiem, co za moc rozpiera  
Twe wątle ściany, że rośniesz w olbrzymie  
Jakieś zjawisko, że się w bohatera  
Zmieniasz żywego, któremu na imię  
Płomień, że wielka, wiekuista, szczera  
Idzie od ciebie toń ognia i trzymie  
W objęciach swoich rolę, by nie skrzepła,  
Lecz głośnem biła tętnem pod działaniem ciepła.

Pokrywę twoją lśnista pleśń obsiadła;  
Wszystkie wspomnienia, zda się, w niej przygasły,  
A z wnętrza twego snują się widziadła,  
Świat zarzucając skrwawionemi hasły, —  
Tłumy, na które błyskawica padła,  
Płyną, jak obłok gromami opasy,  
A w ślad za nimi ukradkiem się wlecze  
I czołga się i pełza pohańbienie człecze...

Uderzcie w dzwony! Niedoleżni starce,  
Imcie się sznurów na kościelnej wieży —  
Strach się zakłada i Pan mówi: „Skarę  
Gnuśne potomki walecznych żołnierzy!  
Śródłunne wokół rozleją się harce,  
Nic żernych ogni moich nie uśmierzy,  
Kiedy, ku pomście Swej i Swojej chwale,  
Świeczników groźnych siedem, niszczący, zapalę!...”

W przestwornych głębiach, wśród niebieskiej wyży,  
Ciężary swoje zwarły chmur ołowię;

Wielkie ramiona płomienistych krzyży  
Wraz się zjawily na smutku pustkowie,  
Ażeby zniknąć prędzej, nim się chyży  
Zadziw o treści ich tajemnic dowie;  
Komet złowróźbnych rozpalone miotły  
Na krzyżach tych cierniowe, straszne wieńce plotły...

A potem naraz Lęk, który z za węgła  
Wytrzeszcza w oddal szklane, martwe oczy,  
Ujrzy, jak moc się nieznana rozprzegła,  
Jak w chmur zwichrzeniu i światła roztoczy  
Błyskawicowej zrywa się, wylęgła  
Z gniewu bożego, zbrojna czerń, jak broczy  
We krwi, szalona, rozpetana, wściekła,  
Nie wiedzieć, godna Niebios, czy godniejsza Piekła...

We mgłach, w przyémionym widnokregu duszy,  
Która goryczą ludzkiej nędzy płacze,  
Skrzydło o skrzydło z poszumem się kruszy,  
Jak świst nawalnic: Szatani-puhacze  
Łamią aniołów szereg białopuszy,  
W surmy żalobne zagrały rozpacze,  
Ślepe, o trupiej na licach bladeści,  
Gdzie Życia zaprzeczenie przyczajone gości...

Schodzą na ziemię zastępy ponure,  
Ku cmentarzowi włoką się za trumną,  
Na zgiętych plecach królewską purpurę  
Dźwigają w strzępach, a twarz, wczoraj dumną,  
Dziś już nie mając sił, by wzniesić się w górę,  
Słonią kołpakiem; tak rzeszę tę, szumną

I huczną ongi, trwożny wstyd ogarnia —  
Nie spojrzą na drogozask z napisem: Męczarnia!...

Przy boku szable złamane przez poły,  
Albo pogiete, bez pochew, u pasów,  
Zwisłych na biodra; polysk klingi golej  
Rdze od niepomnych pożerają czasów:  
Krew na nich zaschła!... Orły i sokoły,  
Śród napowietrznych wrzasków i hałasów  
Orężnych wzrosłe, stępione już dzioby  
I pióra mając zdarte, włoką się na — groby...

Jedni rycerskim pochylają znakiem  
Z niewysłowionej żalości, a jedni  
Trupiami usta, smutnym mknąc orszakiem,  
Skomlą pieśń straszną, a drudzy, w powszedni  
Dzień tego bólu, co nadziemskim szlakiem  
Mgły swe rozścielił, coraz to bezwiedniej  
Zdzierają z siebie wszelką już nadzieję  
I suną, niewiadomo, w jakie suną knieje...

A inni, pchani w te Przyszłości ciemnie  
Kościastą ręką Pomsty, zapomnieli  
Swej antenackiej dumy, co najemnie  
Wić się nie mogła, i wrzeszczą: Niech dzieli  
Naszą się schedą chciwy wróg! Drżij ze mnie  
Atlas i bisior! Obrywaj z tej delji  
Kosztowne guzy! Bierz sobole futra  
I siodła turkusowe, lecz daj żyć do — jutra.

A jutro nędzne!... Zaś inni — o biada!  
Potężny organ umilkł w pańskim tumie,

Którego ścian już czerwona gromada  
Głaznych grobowców podeprzeć nie umie —  
Inni na znakach swoich piszą: „zdrada!“  
Gdyż obrachunki czynią w swym rozumie,  
Że lepiej w wrogie wcielić się zastępy,  
Niż oddać im na pastwę kontuszowe strzepy...

Inni rycerskiej urągają chwale,  
Bo jeno blichtrzem jest marnym; zwycięską  
Śmierć własnych ojców, ginących wspaniale  
Na krwawych polach, równoważą z klęską  
Swojej sadyby, albo ostrzą pale  
Dla tych, co, w wnętrzu wolę jeszcze męską  
Żywiąc, nie mogą składnie nagiąć karku  
Na tym upodleń ludzkich haniebnym jarmarku.

Tak idą w czelusć otchłanną te rzesze,  
Nagromadzone, jak wojenne łupy  
Ku śmiechu żądnych gawiedzi uciecze:  
Słabi i możni, panowie, biskupy,  
Jezdne chorągwie i szeregi piesze,  
A wszyscy chrześzczą kośćmi, bo są trupy,  
Które tchórzostwo swe i zanik wiary  
Okryły w ukradziony trupom całun stary.

Czasem się z tłumu straszny płacz dobędzie,  
Lub okrzyk kłątwy przeniknie powietrze,  
I wraz się urwie — nie dojdzie przed Sędzię,  
Aby mu wskazać na oblicza, bledsze  
Od bladej śmierci, i zbawcze orędzie  
Wymusić z Niego... Czasami się przetrze

Ku uszom twoim chrzęst: to w trupiej dłoni  
Pastorał się przelamał, lub gwóźdź wypadł z broni...

Tak idą, w czelusć i przepaść — bez końca...  
A chór szatanów chichocze rozgłośnie  
Ponad rozłogi, pozbawione słońca,  
Na których żaden kłos już nie wyrośnie,  
Ani nie stanie odważny obrońca,  
Zmartwychpowstanej ufający wiośnie —  
Aż oto nagle kłęb się chmur rozwelnia:  
Na orszak spływa blasków płomienistych pełnia.

Słowo przedwieczne. Płomień, przeobficie  
Nasycon światłem, na klasztornym zrębie,  
Wychylającym z mgieł, jak dawne śnicie,  
Ogniami zlane biele ścian gołębie,  
Zjawia się w białym, słonecznym habicie  
I głosem, mocnym, jako sęki w dębie,  
A krwią ociekłym, jak serdeczna blizna,  
W umarłe rzuci hufce święty krzyk: Ojczyzna!

Nie dźwiga miecza, krzyżem drogę znaczy,  
Ten tor chwalebny, z którego uchodzi  
Miedziana stopa leniwej Rozpaczy  
Przed bohaterstwem w promiennej powodzi  
Nowego życia... Pan i tłum prostaczy,  
Jako rybitwy na ogromnej łodzi,  
Już nie pogrzebnym orszakiem się włoką,  
Lecz płyną wielkiem morzem wiary w dal głęboką.

I Płomień-Słowo w śnieżystym kapturze  
Naokół iskry żywotwórcze ciska:

„Tobie li“ — mówi — „możny Panie, służę,  
I łaska Twoja, czuję, że już bliska:  
Gniew Twój w niszczącej zjawia się wichurze  
I światy spycha w bezdenne urwiska,  
Lecz gdyś już serca wypróbował, Panie,  
Wnet dobroć Twa zwycięska na wyłomie stanie...“

Huk, szum i poświst i jęk się wzbija,  
Dym się rozkłębia, syczy zamęt krwawy;  
Od jasnogórskiej bramy wroga zmija  
Cofa się, dalszej nie żadna oblawy:  
Głowę jej depce niewinna Lilija,  
A u stóp Panny, jak promień złotawy,,  
Śnieżny się habit w cichym smętku ścięle,  
Spokoju wzdyc łaknący po zwycięskim dziele:

„Kiedyż się, kiedy zbliżysz, bladoczoła — ?  
Głębokooka śmierci, kiedyż po mnie  
Przyjdiesz, by zabrać do swego kościoła?  
Twej ambry słodkiej spragniony-m ogromnie,  
Bo serce moje płacze, iż dokoła  
Żal tylko widzi, a zasię przytomnie  
Patrzy w tę przestrzeń, gdzie, jak gwiazda złota,  
Rozświeca grób wieczystość ludzkiego żywota“.

I w jednej z takich chwil, gdzie dusza, głodna  
Tajemnic bożych, do ramion przypina  
Skrzydła i w locie swym dociera do dna  
Świątych objawień, zesła k'niemu, sina  
Żalobą mogił, a jednak pogodna  
Śmierć i szepnąwszy: „wszelka tobie wina

Jest opuszczona, boś żył duchem, górnice“,  
Śmiertelne jego prochy zamknęła w swej urnie...

Prochem-li jesteś, prochem, więcej niczem,  
Kamienna urno! a jednak przed twojem,  
Żalobą wieków okrytem obliczem  
Staje ma dusza z dziwnym niepokojem,  
Albowiem czuje, że w twem tajemniczem  
Wnętrzu odnajdzie coś, co nie jest rojem  
Zmarłych-li wspomnień, ale życia treścią,  
Uwitą z wielkich tęsknic, karmionych boleścią...

#### XXIV. W NOC WIGILIJNĄ.

Powie Chrystus, Pan nasz miłościwy:  
Posłuchajcie, aniołowie moi,  
Tak mi dzisiaj na duszy radośnie,  
Niechaj każdy swe skrzypki nastroi

Między ludzi pójdziemy z muzyką,  
Chcę im huczne wyprawić wesele:  
Jednych wiarą zatruję, a drugich  
Białym chlebem miłości obdzielę.

Kto zaś z pośród mieszkańców tej ziemi  
Najgodniejszym mych łask się okaże,  
Temu rzeknę — słuchajcie: Zbawionyś  
Bo nadzieję przynoszę ci w darze.

Aniołowie na skrzypkach zagraли,  
Idą przodem z muzyką a pieniem,

Wielce-ć radzi, że Chrystus z opłatkiem  
Między ludzkim zasiądzie stworzeniem.

Przyszli w kraje bogate i plenne:  
Snać nad wami rozwarły się nieba,  
Wszystko macie — król światów zawoła —  
Tylko jeszcze miłości wam trzeba.

Przepłynęli rzeki i morza,  
Dumni mędrce zabiegli im drogę:  
Nad przepaścią stoicie — rzekł Chrystus —  
Jedną wiarą ocalić was mogę.

Nie poskąpił miłości i wiary —  
Aniołowie zagraли radośnie  
Plon obfity — dla nieba — śpiewają  
Z twoich darów, o Panie, wyrośnie.

Zaszli w ziemię od losów przeklętą —  
Podścieliły się szare sukmany  
Pod ich stopy: ni króla ni władcę  
Widzim w Tobie, nasz Jezu kochany!

Na te oczy, od łez już ośleple,  
Tylko bożą widzimy dziecinę:  
Nie żądamy już więcej niczego,  
Zbaw nas grzechu i przebacz nam winę.

Zmilkły skrzypki i pieśni aniołów,  
Z Chrystusowych źrenic łza się leje:  
Czem opłacę wasz ból i pokorę?  
Dam wam świętą i zbawczą nadzieję...

## XXV. Z OPLATKIEM.

Czego by życzyć wam  
W tę świętą noc,  
Gdy betleemskiej gwiazdy jasna moc  
Kieruje drogę swą od niebios bram  
Ku waszym zbożnym chatom?  
Kiedy ten skrawy śnieg,  
W ten mroźny szron  
Spłynie do waszych utęsknionych łon,  
Słodka opowieść, że w żłobie ten legł,  
Co odkupienie światom  
Pragnął zgotować przez męczeńską krew?

Kiedy aniołów chór  
Do waszych wrót  
Zapuka cicho, mówiąc: „stał się cud!  
Człowiek jest jako piękny, boży wzór,  
Stworzony do swobody!”  
Kiedy wam szepnie tak  
W ten krwawy dzień,  
Gdy do ostatnich trzeba walczyć tchnień,  
Aby na ciele różg nie został znak,  
Aby po kaźniach młody  
Nie zniszczał pragnień bohaterskich siew —

Kiedy obsiadłszy stół,  
Ujawszy w dłoń  
Biały opłatek, pochylicie skroń,  
Albowiem każdy będzie żywiej czuł,  
Iże w ten wieczór wesela  
Tylko na smutek stać

Głęb prawych dusz —  
Dziś, gdy nie wina, ale zółci kruz  
Wychylać musi nasza droga brać,  
Od brata i przyjaciela  
Jakiż świąteczny chcecie przyjąć dar?...

Chcę wam otuchę wnieść...  
W ten wielki czas  
Jakiś się nowy grom obudził w nas —  
Wy o tem wiecie, matki, których cześć  
Roznosi drobna dziatwa;  
Z krwiście stworzyły straż  
Niezlomnych praw,  
Więc zawoławszy: zbaw nas, krwi, o zbaw!  
W wieczór dzisiejszy rozpogóďte twarz;  
Choć to ofiara niełatwa,  
Cieszcie się dzisiaj z wszystkich mąk i kar.

A w tym zamęcie sił,  
Gdy własny brat  
Przeciwno bratu straszny wyrzut kładł  
Na szalę czynu, co się w bojach wił,  
Niech się dziś kaja i korzy,  
Kto kłam wysuwał w bój;  
A zasię ten,  
Kto w prawdzie czystej snuł przyszłości sen,  
Niech się raduje: Nieplonny był znój!  
Z prawdy się rodzi Syn Boży,  
Kruszyciel więzów i rozdawca łask.

Błogosławiona bądź,  
Chwilo, coś jest



Po to nam dana, by przez ofiar chrzest  
Mogły się dusze ku wyżynom piąć  
Boskiego objawienia,  
Że człek, choć z prochu wstał,  
Szatana zmógł,  
Jeśli nie stracił wśród rozstajnych dróg  
Żądzy swobody! blaskiem wszystkich chwał  
Ona go opromienia,  
Boć najprawdziwszych to niebiosów blask.

Zapada cichy mrok,  
Najpierwsza z gwiazd  
Lśni już nad bielą naszych siół i miast;  
Aniołów śnieżno-skrzydłych mgławcy tłok  
Śnieżystem polem spieszy,  
Staje u węglów ścian,  
Kwiecisty mróz,  
Który na szybach tak przemożnie wzrósł,  
Stapia oddechem śpiewu — dobrze znan  
Jest hymn tej świętej rzeszy,  
Miły jest sercom ten niebiański gość.

Zasiądźmy wszyscy w krąg;  
Radość nasz dom  
Niechaj napelni! Jakiś nowy grom  
Zbudził się w wnętrzu naszym! Żądny mąk  
Lęka się wróg zawzięty!  
Sianem nakryty stół —  
Kolędy głos  
Tej najprzedniejszej, którą dał nam los,  
Pójdzie w daleki świat, by świat ten czuł,

Że już zbieramy sprzęty  
Z ofiar, co bujnie tak musiały rósć...

## XXVI. SIEROTKA.

W świat idzie biedna sierotka  
z oczkami zapłakanemi —  
wiatr wieje i sypie śniegiem  
po zamarznętej ziemi.

Macocha wyгнаła z domu,  
zimno i noc już zapada,  
przy drodze nagie topole,  
wron się zrywają stada.

W świat idzie biedna sierotka,  
w pustkowie zatapia oczy,  
w tem przed nią pałac ogromny  
z gęstej wychyli się mroczny.

W oknach goreją światła,  
zamek, jak płomień, czerwony,  
łuna złocista bije  
na mury i bastjony.

W komnatach głośno rozbrzmiewa  
przesłodkie „W żłobie leży“,  
sierota zdumiona staje  
u pałacowych dźwierzy.

Chce dzwonić, nie sięgnie dzwonka,  
chce pukać, za słabe dłonie:  
nikt jej nie słyszy w zamku  
co w świetle i pieśni tonie.

Gdzie — w którą stronę się udać?  
W mgłach przed nią świat daleki!  
Pod murem zamkowym spocznie  
i zaśnie — może na wieki!?...

Wiatr wieje i śniegiem sypie —  
sierotka wyteża oczy:  
u stóp zamkowych chatynka  
gubi się w gęstej mroczy.

W okienku światło przygasa,  
przymilka kolęda słodka:  
Otwórzcie mi, dobrzy ludzie,  
ja-ć biedna jestem sierotka!

Otwarli jej drzwi sosnowe,  
wpuścili do niskiej chaty:  
Ogrzej się dziecię, przy ogniu,  
zjedz kąsek niebogaty!

Sierotka siadła przy ogniu —  
o jaki los szczęśliwy! —  
i kromkę ma, a wokół  
dzieją się cuda i dziwy:

W izbie, gdzie knotek przygasa  
gdzie głosu na pieśń nie stanie,

światłość się wielka rozlewa  
i setne słysząc granie.

W białych, jak śnieg, sukienkach,  
wkraczają aniołowie  
skrzypeczki im błyszczą w dłoni,  
korony jasne na głowie.

Kolędy przecudowne  
w nadziemskie płyną raje,  
a w środku tego orszaku  
sam Chrystus biały staje.

Rzucił niebieskie progi,  
kościół rzucił złote,  
by podziękować biedakom,  
że w dom przyjęli sierotę.

## XXVII. A KIEDY ZMARTWYCHPOWSTAŁ...

A kiedy zmartwych powstał,  
rzekł uczniom i apostołom:  
Radujcie się razem ze mną,  
wieść wam przynoszę wesołą.

Rozwarłem piekielne bramy,  
życie-m uwolnił od męki,  
słoneczność spływa po świecie  
z mojej wszechmocnej ręki...

*A Marja z Magdali, usłyszawszy te słowa, rzekła:*

Zbawiłeś mnie, Panie, od grzechu,  
do krzyża przygwożdżony —  
niczem już nie pragnęła  
prócz Twej cierniowej korony.

Nie znałam większej słodyczy,  
wonnejszej nie znałam woni  
nad krew z Twojego boku,  
nad krew z Twej świętej skroni.

Dzisiaj, gdy patrzę w Twe lice,  
skąpane w wiosennem złocie,  
cierpienia chęć mnie opuszcza,  
a skrzydła rosną tęsknocie.

Chciałabym szeptem trawy,  
która kielkuje z pod ziemi,  
opiewać nieśmiertelność  
ustami dziękczynnemi.

Chciałabym puchem kwiecia,  
obsypującym czereśnie,  
żywot uwielbiać wieczysty,  
niezmiłkę nucić mu pieśnię.

Chciałabym lotem jaskółki,  
przybywającej z za morza,  
wznieść się w Twój Raj objawiony,  
gdzie władnie żądza-li boża.

Zbawczą jest siła boleści,  
lecz większą moc ma w sobie

pragnienie nowego życia,  
wyrosłe na życia grobie...

*Tak rzekła Marja z Magdali, zachwycona jasnością  
twarzy Chrystusowej, a Tomasz, który był niewierny,  
mówił:*

Dotykam się Twej rany,  
bo chcę mieć znak widomy,  
że nie jest złudą Twa miłość,  
co ma ogarnąć ogromy.

Spoglądam w Twoje oczy,  
wolne od śmierci przesłony,  
bo chcę w nich wyczytać spokój,  
idący na świata strony.

A z poza Twojej Golgoty,  
z za granic zmartwychpowstania,  
przyżywa wrzask i zamęt,  
ciemny się mrok wylania.

Nowe stawiają krzyże  
i płyną krwi strumienie,  
na Chrystusową szatę  
tłumna się zgraja żenie.

O Panie jasny i cichy,  
coś przemógł wrzawę i ciemnię,  
daj sercu wypoczynek,  
odpędź te widma odemnie.

Pokrzep mą słabą duszę,  
bo z niepewności omdlewa —  
wiem: Józef z Arymatei  
zdział Twoje ciało z drzewa...

Bożego spragnion Królestwa,  
w całunne owinął płótna —  
Złożyła Cię do grobu  
jego tęsknica smutna...

Wiem: poszły trzy Marje,  
z drogiami szły maściami:  
Któż — rzekły — głaz nam odwali,  
litując się nad nami?

Wiem, o zwycięsco śmierci,  
że gdy nad grobem stały,  
ogłosił im chwilę triumfu  
wysłaniec Twój, anioł biały.

Żeś jednej się objawił  
po krzyżowania męce,  
promienny, rozradowan,  
z chorągwią w świętej ręce.

Wiem: rzekłeś do niej słowo,  
co skrzydła przypina tęsknocie  
za nieśmiertelną wiosną,  
gdzie kres jest dan Golgocie...

Położ mi dłoń na sercu,  
położ mi dłoń na czole,

bym czuł, że ona to niegdyś  
łamała chleb przy stole...

O tak, to ręka ta sama,  
już wątpić mi nie trzeba —  
lecz gdzież ta zbawiająca  
od głodu, miara chleba?

W okęgach drżą powietrznych  
Twe wielkie przyrzeczenia.  
a mrących nowa rzesza  
z starą się rzeszą mienia.

O Panie zmartwychpowstały,  
dajże mi znak widomy,  
że nie jest złudą Twa miłość,  
która ogarnia ogromy.

Milczący patrzysz mi w oczy,  
a ongiś szeptał: „Mój ludu!”  
Rozerwij te tajemnicze  
pieczęcie Twojego cudu...

*Ale Chrystus nie odrzekł nic, tylko gdzieś, na dalekiej  
Północy, w krainie głodu i ucisku, obudził głosy dziecięce,  
każąc im śpiewać:*

Zawitał dzień nam radosny,  
od dawna pożądany:  
Chrystus Pan zmartwychpowstał,  
by ludzkie ukoić rany.

Przybity był do krzyża,  
trzy dni przeleżał w mogile,  
zmartwychwstał, świat przemienia  
w odmładzającej sile.

Rzekł anioł trzem Maryjom:  
szukacie go daremnie —  
Zmartwychwstał, przewycięzył  
Głuche, grobowe ciemnie.

Przestanie głód nas wybijać  
i ucisk nasz, o Panie,  
Zakończy się przez Twoje  
święte zmartwychpowstanie.

*A Marja z Magdali, zwana także świętą Pokutnicą, towarzysząca krucjacie dziecięcej, zatrzymała się pod dawnym, krzyżem na drogach rozstajnych i zapatrzona w przestrzeń wiosenną, szepce w zachwycie:*

Zbawczą jest siła boleści,  
lecz większą moc ma w sobie  
pragnienie nowego życia,  
wzrosłe na życia grobie.

## XXVIII. MARJI KONOPNICKIEJ.

„A gdy poszedł Stach na boje,  
zaszumiły jasne źródle,  
zaszumiło kłosów pole

na tęsknotę, na niedolę...“  
Na niedolę, na tęsknotę  
płyną w szumach kłosy złote,  
śród świecistych łąk do morza  
płynie w szumach rzeka boża;  
blask słoneczny żarem pali  
po niebiosów wielkiej fali.  
A wybrzeżem, bruzdą, miedzą,  
przyrowami, kędy siedzą  
senne wierzby i burzany,  
idzie duch Twój zadumany.  
Tęsknicami pół opity,  
idzie duch Twój do mogiły,  
gdzie po wrzawie, gdzie po wojnie  
Stach na wieki legł spokojnie.  
Na krawędzi grobu spocznie  
i rozpręda żalów mrocznie  
po dolinie i po lesie —  
w krąg, jak cichy szum się niesie,  
w krąg, jak powiew trawy depce,  
duch Twój dziwne skargi szepce,  
że gdy wracał król w swe mury,  
chorągwiane wnet purpury  
kłoniły się mu pod nogi,  
gdy król z sławnej wracał drogi.  
A Stachowi, gdy go w dole  
po krwawicy, po mozole  
kładły z smutkiem ręce bratnie,  
na żegnanie, na ostatnie,  
zimne dzwony bić nie chciały,  
bo się rozszedł talar biały,

„tylko dzwonki liljowe  
dzwoniły mu przez dąbrowę“.

\* \* \*

I tak idzie rozmarzony  
przez zapłocia, przez wygony,  
przez zagrody i cmentarze  
idzie duch Twój z smętkiem w parze.  
Zrywa miękki kwiat jabłoni  
i jaskółki w locie goni,  
skowrończane pieśni łowi  
śróđ gleb żyznych i pustkowi,  
krwią od cierni ręce plami,  
czoło zdobi jagodami,  
jagodami tego bólu,  
który wyrósł w naszym polu...  
Jakaż wielkość w tej ozdobie,  
którą znalazł duch na grobie!  
Jakiż czar się dziwny mieści  
w tych srebrzystych łzach boleści,  
w których błyszczą hen dokoła  
nasze drzewa, nasze siola!  
Jakaż pieśń się mocna rodzi,  
kiedy, brocząc w ros powodzi,  
duch Twój w przestwór wlepia oczy,  
patrzac, komu dzień się mroczy,  
a zaś komu ranna zorza  
u szczęsnego staje łoża!  
Jakież rajskie płyną tony,  
kiedy duch Twój rozręskniony  
nadsłuchuje, skąd w niebiosy  
te rycerze biją głosy —

czy od mogił, które pługi  
rozorały w zagon długi,  
czy od łanów, gdzie rycerze  
mają kłaść się w doły świeże?  
Lećcie, pieśni i nadzieje,  
razem z wiatrem, który wieje  
od uroczysk i od granic,  
gdzie bohater skon ma za nie!  
Lećcie, pieśni, po tej fali,  
co się ogniem wiary pali,  
rozręsknionej snac bez końca  
w tym wschodzącym kręgu słońca.  
Lećcie, pieśni, lećcie w gości  
w ten weselny dom miłości,  
do pałaców i pod strzechę  
na triumfy, na uciechę!...

\* \* \*

I tak duch twój idzie, płynie  
i nie spocznie na wyżynie,  
skąd w błękitnej duchów ciszy  
jęków ziemskich nie usłyszysz.  
Rozmarzony, rozręskniony  
hen! w ojczyście idzie strony  
i w pochodzie się nie znuży  
ni przestraszy się tej burzy,  
która żarne zbiera gromy,  
by je rzucić w nasze domy;  
Nie nastraszy się tej chmury,  
skrywającej w cień ponury  
żniwny rozlóg, by za chwilę  
w bezlitośnej sypnąć sile

mroźnym gradem... Tylko czasem,  
kiedy strzeli ponad lasem —  
nad rozłogiem kiedy strzeli  
błyskawicznej smug topieli  
kiedy piorun za piorunem  
zacznie szarpać chmur całunem  
i, w niszczącej swej potędze  
rozszałały, groźny, dziki,  
bezechowe chłonie krzyki  
tego ludu, który nędzę  
u kołyski ma i trumny,  
duch Twój, patrząc w zamęt tłumny  
klęsk i cierpień i rozpaczy —  
w zniweczony patrząc szlak,  
jak wylękły staje ptak,  
swą obecność jękiem znaczy  
i ku niebu zgniewanemu  
rzuca smutne: czemu?! czemu?!  
Niebios a mu nie odjękły,  
a on, duch Twój, ptak wylękły,  
połamane skrzydła nurza  
w tych zatorach, które burza  
wyżłobiła gromów mocą,  
i, osłonił żalów nocą,  
rzuca niebu milczącemu  
swoje żalne: czemu?! czemu?!  
O radości, o rozkoszy!  
Słońce czarne kłęby płoszy,  
rozwarły się nieb wierzeje,  
w blaskach łąka w głos się śmieje,  
jaskrów śmieją się tysiące  
w ono słońko promieniące,

a w piwnicy blade dziecko  
zaplakanej pyta matki:  
Hej! matulu, czy są kwiatki —  
czy słoneczko jest na świecie?...  
O rozkoszy, o radości!  
Szczęście spieszy ku nam w gości,  
fujarkowej odgłos pieśni  
pochwytyują ptacy leśni,  
pełne ziarna gną się żyta,  
a od chaty, od zagrody,  
gdzie zmarł z głodu synek młody,  
idzie w żniwny łąn najmita!...  
O uciecho, o wesele!  
Świat się nowym duchem ścięło,  
sprawiedliwy dzień się zbliża,  
a przed sądem, wobec krzyża  
zbrodnia życia grób już kopie,  
staje nędzne, biedne chłopię!

\* \* \*

Duch twój z skrzydły zranionemi  
chciałby uciec od tej ziemi  
w błękitniejszą lecieć dal,  
ale tak mu żal! tak żal!  
pójdzie, wzłeci, rozkołysze  
piór łopotem świętą ciszę,  
co oprzędła naw marmury,  
gdzie duch jakiś spoczął wtóry,  
gdzie tajemny półmrok głuchy  
wypełniają setne duchy,  
przemocarne, przepotęzne,  
w lotach swoich niebosięzne,

nurtujące hen! aż do dna  
wskróś wieczności fal!  
Pójdzie droga trudów godna,  
i w mistycznych mżach witraży  
z tłumem duchów tych pogwarzy  
wśród sklepionych hal...  
A z daleka, od tej ziemi,  
skąd szedł z skrzydły zranionemi,  
cichy wiatr zawiewa,  
cicho szumią drzewa —  
Ach! jak mu żal! jak żal!  
Zmilknij wietrze! milczcie, jodły!  
Inne szlaki mnie tu wiodły,  
inne mnie tu gnały loty,  
w kraj promienny, w kraj ten złoty!  
Łódź ma płynie w żar, w promienie,  
w słodkiej tonę kantilenie —  
pal się, blasku, pal!  
Tam niech krwawe gorą zorze,  
niech zagony nędza orze,  
niech się zgliszce w słup rozdymi,  
przeczerwony, przeolbrzymi,  
tutaj w złotne znów opony  
cyprys tuli się stęskniony,  
pinje tu swą głowę  
tulą w sny różowe...  
Skier spływają ametysty  
na półmroków smug srebrzysty,  
a ty, wierzbo moja stara,  
czyś ty mara, czy nie mara?  
Skąd się wzięłaś w tej godzinie  
wśród cyprysy i wśród pinje?

Skąd się wzięłaś na te drogi,  
gdzie rozwiewne, białe togi  
w elizejską płyną dal?  
Skąd się wzięłaś, wierzbo siwa,  
na te czary, na te dziwa —  
ach! jak mi żal! jak żal!...  
Panie! dałeś mi stygmaty,  
że się mogę wznieść nad światy  
i w błękitnej duchów ciszy  
pukać do twych wrót.  
Niech się spełni cud!  
Niech twa ręka je otworzy  
mojej pieśni bożej!  
Jęków ziemskich nie usłyszysz,  
gdy, wpatrzona w Twoje lice,  
wieścić będzie tajemnice  
mórz, skąd bije Duch!...  
Hej! Ze skrzydły zranionemi  
nie powróci do tej ziemi;  
straci wzrok i słuch,  
rozemglona,  
zatopiona  
w wiekuiłą dal...  
Ach! jak jej żal! jak żal! jak żal!...

## XXIX. MONA LIZA.

I.  
Śmiejesz się do mnie tym dziwnym uśmiechem  
W oczach i ustach, który — nie wiem — cnotą,



Czy też ponętnym przykuwa mnie grzechem:  
Tak mi się w serce strzałą wbija złotą.

Pod jego czarem z młodzieńczą ochotą —  
U dusz ranionych z niezwykłym pośpiechem —  
Rwałbym się znówu ku tym wyżnym lotom,  
Gdzie dech nasz z bożym zlewa się oddechem.

Lecz mnie już błękit niebieski przeraża,  
W nieskończoności tonący, bezdenne  
I bezgraniczny baldachim ołtarza,

Ustawionego w mistycznej świątyni,  
Gdzie, jako obraz daleki i senny,  
Wielka Miłości ofiara się czyni.

2.  
Śmiejesz się do mnie... Spoglądam w twoje oczy  
I twoje usta, niecierpliwie chłonę  
Ten dziwny uśmiech, co w sobie jednoczy  
I ciernie cnoty i grzechu koronę.

I żary na mnie buchają czerwone,  
Dusza ma ogniem, niby krwią, się broczy —  
Tajemną w Sais rozdieram zasłonę,  
By zginąć w światła ślepiącej roztoczy.

Zabójcze światło! Do głębi przewierci,  
Człeku, twe wnętrze, ale nie rozświeci  
Zagadki bytu, która w niem się chowa.

Przy tobie stanie li zdawkowej Śmierci  
Posępne widmo, straszdyło na dzieci,  
Albo też Boleść, tak, jak Śmierć, zdawkowa.

3.  
O Mono Lizo! Niema w sercu mojem  
Ni jednej chwili, gdzieby twe powieki,  
Pełne tajemnic, zbratały z pokojem  
Mą duszę!... Śmieję się! Śmieję się! Niech w daleki

Popłyną przestwór nieuchwytnie rzeki  
Mgławic miesięcznych, darzące ukojem  
Serca, znużone ciężarem opieki,  
Którą ich raczy świat ten!... My nad znojem

Staniemy zdrowi i silni!... W ramiona  
Pochwyć mnie słodkie!... Wesoła i pusta,  
Przytul do ust mych swe motyle usta!

Na piersiach twoich niech pierś moja skona!  
Niech wokół wszystko skona, prócz rozkoszy,  
Której nam światło z Sais nie wypłoszy...

4.  
O Mono Lizo! Nie wiem czemu nasze,  
Zeszły się drogi i czy dzień się zbliży,  
Że się rozejdą, ani tem się straszę,  
Że na tych drogach wyrośnie rząd krzyży...

Wszystko mi jedno! Po powszednią paszę,  
Ambrozji żądny, duch mój się nie zniży:

Kocham twe ciało! Ku niemu się łaszę,  
Wróg Nazaretów świętych i Assyży.

Żądliwie śledząc barwnych szat obrzeże,  
Okalające twoje łono mleczne,  
Rękę mą drżącą w twoje kładąc włosy,

Im tylko ufam i w nie tylko wierzę,  
O Mono Lizo, me pragnienie wieczne!  
O Mono Lizo, mój wzlocie w niebiosy!

5.  
Śmiejesz się do mnie, czy śmiejesz się ze mnie?...  
Na ustach twoich uśmiech tajemniczy  
Nad przepaściste prowadzi nas ciemnie,  
Gdzie siwy starzec ziarnka piasku liczy...

Jest-li lęk taki w niedostępnej dzicy,  
W którą się słońce przedziera daremnie,  
Jaki ma śmiech twój, skażon czy dziewiczy —  
Śmiech twoich oczu? — ja nie wiem...

Na Lemnie

Czy na Golgocie — tam, gdzie ludzie żyli  
I tam, gdzie marli, niema takiej chwili,  
Iżbym nie pragnął sięgać ku zasłonie

Z Sais, a zawsze, w mroku czy przeźroczu  
Mych dni doczesnych, muszę cofać dłonie,  
O Mono Lizo, przed śmiechem twych oczu...

### XXX. BOŻE CARJA CHRANI.

Wróg do nas przyszedł i mówi: „Rebiata!  
Niechaj wesołość w naszych sercach gości:  
Dziś wam ojcuje pan i władca świata,  
Car miłościwy! Przeszłość wam zazdrości,  
Że za minionych nie śpiewała dni:  
Boże carja chrani!“

Wraz się wyprężył, w takt uderzył w dłonie  
I groźne ku nam posławszy źrenice  
Zaintonował w współsiepaczy gronie  
Pieśń, która wstydem oblewa nam lice  
I kłamać każe chwale dawnych dni:  
Boże carja chrani!

Jakto? Na ziemi, którą przodki nasze  
Krwia użyźnili — na ziemi, gdzie w tańce  
Z dzidą moskiewską polskie szły pałasze,  
I zwyciężały, my dziś, jak zaprzańce,  
Śpiewać tu mamy na szyd wielkich dni:  
Boże carja chrani?!

Od starych kopców, od mogił rycerzy  
Głębokie płyną ku wnukom westchnienia:  
Łany dziejowe wielkim krokiem mierzy  
Śmierć i w żalobę świat nam w okrąg zmienia,  
A my nucimy — hańbo smutnych dni:  
Boże carja chrani!

Ojczyste pola pod ciosami burzy  
Legły pokotem, w borach smukłe sosny

Chyłą się z żalu, ptak się w locie nuży  
I wody płaczą, a zasię radosny  
Ma hymn rozbrzmiewać w te rozpaczne dni:  
Boże carja chrani.

Nie! nie! Ten język niech ucichnie w gardzieli,  
Niech rozbrat dusze młodzieńcze popęta,  
Niżbyśmy kiedyś zapomnieć mieli,  
I zdradzić ciebie nasza ziemia święta  
Pieśnią, co końcem jest twych przyszłych dni:  
Boże carja chrani!

Przekleństwo tobie, hymnie bluźnierczy,  
Coś jest ojcowstwa zaprzeczeniem krwawem:  
Na gruncie twoim szubienica sterczy,  
Bezprawie każe nazywać nam prawem —  
Przekleństwo tobie, hymnie podłych dni:  
Boże carja chrani!

W twej nucie słyhać pobrzęk kajdan głuchy,  
Lodów sybirskich i kazamat echa  
Drżą tu, by straszne, potępione duchy,  
Trupich się czaszek żółkły stos uśmiecha  
W twojej melodji grozo naszych dni:  
Boże carja chrani!

Ale już zbliża się twój kres: na sądy  
Już cię wzywają zdeptane narody —  
Tracisz pod sobą twe morza, twe lądy;  
Brzmieć już zaczyna świeży hymn swobody,  
Gdzie dotąd wladła ta kaźń wolnych dni:  
Boże carja chrani!

### XXXI. WARSZAWIANKA.

Oto chwila pomsty, sławy!  
Na ulicach lud Warszawy!  
Biegnie twardy, groźny, krwawy,  
Wie, że nie jest ciźbą sług!  
Woła, krzyczy, grzmi rozgłośnie:  
Grób nasz trawą niech porośnie  
Zginąć, choćby w życia wiośnie,  
Byle ujrzeć, że padł wróg...

Świst i gwizd i tętent koni:  
To kozacka sotnia goni,  
Nahajkami jarzma broni.  
W ludu plecy wpił się bat...  
Roztocz, Boże, swoją pieczę  
Nad despotą! Czucie człeczce  
Utonęło w krwi, co ciecze  
z naszej rany, hańbiąc świat!

Wyrósł z ziemi tłum olbrzymi:  
Kto szlachetny, z szlachetnymi!  
Niechaj zgłiszcze się zadyml!  
Nad pokotem wraźnych ciał!  
Wrzask i zamęt pośród czerni;  
Miłosiernej! Miłosiernej!  
Nam kazano, myśmy wierni,  
Staniem przy was, jako wał!

Nie staniecie! próżne modły!  
Duszę gad wam zatruł podły —  
Zemstą dłonie do nas wiodły,

W naszej zemście padł wasz dzień!  
W krwi się wije praw obrońca,  
Co przeczyły prawu słońca —  
Walczyć będziem aż do końca,  
Do ostatnich walczyć technię...

Polska żywa! Wolność żywa!  
Lud żelazne więzy zrywa!  
Kto tu zmęczon? Kto spoczywa?  
Hej! nie nadszedł jeszcze czas,  
Nie spoczniemy, aż świat stary  
Nie położy się na mary,  
Aż zwycięskie te sztandary  
Nie zaszumią, jako las!

A zaszumią, pewne siebie.  
Że na ziemi i na niebie  
Niema władzy, która grzebie  
Wolność, Polskę w hańby grób —  
Że na zawsze się stępiły  
Te pałasze wrażej siły  
Co w nadzieje nasze biły  
Z naszej wiary czyniąc lup...

Oto chwila pomsty sławy!  
Na ulicach lud Warszawy!  
Biegnie, twardy, groźny, krwawy,  
Wie, że nie jest ciżbą sług!  
Wola, krzyczy, grzmi rozgłośnie:  
Grób nasz trawą niech porośnie,  
Zginąć, choćby w życia wiośnie,  
Byle ujrzeć, że padł wróg.

## POSŁOWIE TOMU XI.

W tomie niniejszym przedrukowano zbiorek p. t. „Ballada o słoneczniku“ z r. 1908 z kilkoma zmianami. Prócz przekładów usunięto wiersze o Mickiewiczu i o Chopinie, które weszły do cyklu „Z areny publicznej“ V tomu. Dodano natomiast na końcu wiersz „Mona Liza“, znany z II-go wydania „Krzaku dzikiej róży“ z r. 1907 oraz dwa wiersze społeczne: „Boże carja chrani“ i „Warszawiankę“. Większość zebranych tu liryk drukował poeta w latach 1902—1907 w czasopiśmie. Sądząc ze stylu i charakteru z tegoż okresu pochodzą i pozostałe.

W zbiorze wyodrębniają się dwa typy: liryk refleksyjnych i symbolicznych o kompozycji balladowej. Te ostatnie osnute są na wątku zaczerpniętym z legendy; czasem mają one charakter wysoce dramatyczny, jak „Pieśń o Pani, co zabiła Pana“ lub „Pieśń o Waligórze“ lub czasem łączą charakter epicki z refleksyjnym jak n. p. „Drogi krzyżowe“. Zależy to od tego, czy poeta przepaja symbol bezpośrednim wyrazem swych walk wewnętrznych, czy też przeżywa je tylko we wspomnieniach lub osnuwa wzięty z legendy wątek własnymi refleksjami.

Odrębne piętno poezji z tego okresu stanowi to, że tematy czerpie poeta wyłącznie z introspekcji ze swych własnych przeżyć religijno-moralnych. Konieczność posługiwania się symboliką nasuwa tu raczej irracjonalizm i niepochwytność złożonych stanów duchowych. Motywy ludowe i literackie służą celom stylizacji wysoce artystycznie wyrafinowanej. Prostota motywów w interpretacji Kasprowicza staje się niezrównanym narzędziem sztuki symbo-

licznej. Nieokreśloność, wieloznaczność wątku służy poecie do wypełniania go treścią metafizyczną, rozszerzania jego rozpiętości symbolicznej, sugerowania niezmiernych głębi, rozsnuwania na jego kanwie precudowanej piękności warjantów. Z niejasności prymitywnego podania umie uczynić przepastne przemilczenie, zgrozą przejmującą pauzę dramatyczną. Jakby głębokimi organowemi tonami przerywał niewyszukaną, naiwną melodję poto, aby z tych, raz wstrząsających, to znów zdumiewających kontrastów budować nieoczekiwaną symfonię. Wartość tych liryk jest wyjątkowo wielka: W okresie symbolizmu, końcowego jego największego wyrafinowania w okresie intuicjonizmu i psychologizmu w literaturze, wypowiedziała się w tym stylu swej epoki jedna z najgłębszych i najbogatszych organizacyj duchowych, wypowiedziała do dna, do najintymniejszych drgnień duszy, mimo niedomówień i przemilczeń — parabol symbolicznych.

Raz jeszcze ostatni, najpotężniejszy, w grozie rozpetanych żywiołów zrywa się w „Pieśni o Waligórze“ Prometeusz do walki, lecz i to starcie ma już napół charakter mistycznej komunji z „Wielkim Wichrem Bytu“. Prometeizm, postawa aktywnospołeczna ustępuje tu miejsca odosobnionemu kontemplatorstwu, uczuciowemu przeżywaniu najwyższych wartości moralnych, mistycznemu obcowaniu z duszą świata. Ale dla tamtej, bohaterkiej, walczącej postawy zachowuje poeta zawsze najgłębszą miłość, najcichsze błogosławieństwo i modlitewne uwielbienie. Odchodzi z szeregu walczących, odłącza się od chórów błagalnych, ale nie może oderwać się od nich jego dusza. Wizje rycerskich pochodów nawiedzają tłumnie jego wyobraźnię, kamienna urna z prochami bohatera najgłębszy odzew w sercu jego budzi. W poezji tej panuje półmrok i nastrój tumu, przejmując nas techniemie mistycznych uniesień i dochodzi stłumione brzmienie organów. Ścichł patos wieszczów proroczych i chóralnych śpiewów. Ale pozostał ten patos najgłębszy — stłumiony: niemej rozpacz,

wewnętrznej modlitwy, cichego błogosławieństwa dla nieustraszonych, niezłomnych i męczenników. Pojawia się też nastrój inny, pogodniejszy: zdumiewających przejrzeń i nawiedzeń przez łaskę. Artyzm wyzuł się dobrowolnie z wszystkich elementów dekoracyjnych i efektownych, ale zyskał niezrównaną precyzję wyrażania najintymniejszych stanów duszy i piętno najgłębszego uduchowienia.

S. K.

## SPIS RZECZY TOMU XI

	Str.
I. Nie zgasłaś, pieśni, pd. 1903 r. . . . .	5
✓ II. Siądź na kamieniu, pd.1906 r. . . . .	7
III. Wieczór, pd. 1906 r. . . . .	8
IV. Pożegnanie, pd. 1906 r. . . . .	9
V. Rada, pd. 1906 r. . . . .	10
VI. Wiatr gnie sieroce smreki, pd. 1903 r. . . . .	10
VII. Nie wiem, gdzie jesteś, pd. 1903 r.. . . .	11
VIII. Stary, czarny krzyż, pd. 1906 r. . . . .	12
IX. Dzień Matki Boskiej Anielskiej, pd. 1906 r.	14
X. Procesja, pd. 1906 r. . . . .	15
XI. Miłości pełne niech będą tve usta, pd. 1906 r.	15
XII. Mróz, pd. 1907 r. . . . .	16
XIII. Droga, pd. 1907 r. . . . .	17
XIV. Dzwonki sanek, pd. 1907 r.. . . .	17
XV. Ciche, samotne rzędy wierzb, pd. 1906 r.. . .	18
XVI. Fragment, pd. 1905 r. . . . .	26
XVII. Ballada o słoneczniku, pd. 1906 r. . . . .	31
XVIII. Pieśń o Pani, co zabiła Pana, pd. 1902 r.. .	34
XIX. Pieśń o Burmistrzance, pd. 1903 r. . . . .	40
XX. Pieśń o Waligórze, pd. 1904 r. . . . .	51
XXI. Sawitri, pd. 1907 r. . . . .	69
XXII. Drogi Krzyżowe, pd. 1906 r. . . . .	92
XXIII. Kordecki, pd. 1903 r. . . . .	103
XXIV. W noc wigilijną . . . . .	110

	Str
XXV. Z opłatkiem, pd. 1906 r. . . . .	112
XXVI. Sierotka, pd. 1902 r. . . . .	115
XXVII. A kiedy zmartwychpowstał... . . . .	117
XXVIII. Marji Konopnickiej, pd. 1902 r. . . . .	122
XXIX. Mona Liza . . . . .	129
XXX. Boże carja chrani, pd. 1905 r. . . . .	133
XXXI. Warszawianka, pd. 1905 r. . . . .	135

POSŁOWIE TOMU XI